Nr. 290. Lwów — Sobota dnia 19 Grudnia. Rok 1903.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.
Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h. w Niemczech „ 3 „ — „ w innych Państwach „ 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie 8 h. na prowincyi 12 h.
Numery z poprzednich dni po 20 h.
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o narzeczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA i PRENUMERATĘ przyjmuje wyłącznie: [illegible] we Lwowie [illegible]
Ceny ogłoszeń: [illegible]
wiersz petitowy albo jego miejsce 60 h.
tłustym petitem za każde słowo 6 h.
tłustym garmondem „ 6 h.
korpusem [illegible] 6 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy: [illegible]
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce 60 h.
Reklamy po krecie wiersz petit. 1 k.
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: św. Nemezyusza | Mikołaja — Jutro: św. Teofila | Ambrożego B.
Adres Redakcyi i Administracyi: **Lwów, ul. Sykstuska l. 45.**
Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**
Wschód słońca o godz. 7 m. 54. Zachód „ „ 4 m. 1.
Długość dnia godzin 8 minut 7. Ubyło dnia od wczoraj 0 min.

Sprawozdanie hr. Gołuchowskiego.

Szczerość i jasność — to zalety polityki hr. Gołuchowskiego i jego mów, w których co roku oznajmia w Delegacyach, jakie są zagraniczne cele monarchii, co ona zdołała wykonać i jak zamierza działać w przyszłości. Cele są trudne, bo wśród ustawicznie wybuchających namiętności, które często przybierają formy rewolucyjne, wśród intryg i zadawnionych uprzedzeń, wreszcie wśród rzeczywistych nieraz sprzeczności interesów, trzeba działać dla pokoju, nie uroniwszy przytem nic ze znaczenia monarchii, z jej wpływów, praw i korzyści. Hr. Gołuchowski jest tak samo skromny dziś, jak był w pierwszej swej mowie przed Delegacyami w parę miesięcy po objęciu urzędu spraw zagranicznych. Nie żąda, aby polegano na jego dyplomatycznej wytrawności, na jego zdolności przewidywania faktów, albo ich tworzenia; nawołuje tylko do wiary w moc logiki, która wynika z pozawieranych układów z mocarstwami, w potęgę systemu, który panuje teraz w stosunkach międzypaństwowych, w trafność kierunku, jaki on wytknął polityce austro-węgierskiej. Jego zasługą, że Rumunia już od chwili, jak hr. Gołuchowski jest ministrem spraw zagranicznych, a Grecya od lat paru, postępują w sprawach bałkańskich zupełnie tak samo, jak Austro-Węgry; jego także zasługą, że Rosya na punkcie tych spraw przestała być pełną podejrzliwości rywalką monarchii habsburskiej, natomiast zaś stała się coraz ufniejszą jej towarzyszką. Ale o tych zasługach, z których niejeden minister spraw zagranicznych zbudowałby sobie wysoki piedestal, hr. Gołuchowski wspomina tylko jako o rzeczy, która się powiodła, bo była sama przez się dobra i sprawiedliwa. Idea zwycięża, nie on, a że ją on właśnie stworzył i dla niej innych pozyskał; że od niej ani na włos się nie uchyla i przez to do niej przekonywa wszystkich, o tem nawet między wierszami nie napomyka.

Jego ideą jest możliwa naprawa Turcyi, dokonywana częściami, ostrożnie, z ciągłem uwzględnianiem niedokładności zepsutej maszyny tureckiej, z ustawicznem oglądaniem się na psoty, wyrządzane przez rewolucyonistów i bizantynizm polityczny ludów bałkańskich, niedawno powołanych do samoistnego życia. Nie usunięcie z Europy półksiężyca, ale ucywilizowanie go, oparcie jego działalności na etyce europejskiej i przez to zgaszenie kwestyi wschodniej — oto idea Gołuchowskiego. Jest ona tem uzasadniona, że upadek Turcyi byłby początkiem długich wojen, po których któż wie, czy byłoby na Bałkanie lepiej, niż jest! Wątpią o tem wszyscy znawcy tureckiego Wschodu; wątpić o tem każą politycy bułgarscy i serbscy, o których z surowością bardzo zasłużoną wspomniał hr. Gołuchowski. Ostry sąd, wydany przezeń o intrygach knutych w Sofii, i o serbskich mordach, oraz o „złośliwych, a tolerowanych“ wycieczkach przeciw Austro-Węgrom, daje pewne zadośćuczynienie obrażonym uczuciom cywilizowanego świata. Nierząd jest w Turcyi, ale jest on także w tych państewkach, które uważają się za pierwszych jej spadkobierców. Europa więc nic nie zyska na upadku półksiężyca, etyka jeszcze bardziej się obniży, polityczne mordy będą tem zuchwalsze, czem więcej siły nabiorą te półdzikie państewka, które już się wyłoniły z Turcyi. Więc po cóż ją usuwać? A ponieważ jej ustawiczne chwianie się, jej słabość i bezrząd ciągle grożą niebezpieczeństwem rewolucyj wewnętrznych i zewnętrznych pożądliwości, przeto trzeba ją uporządkować, przez to wzmocnić i tym sposobem usunąć z Europy kwestyę wschodnią.

W dążności do tego celu zrobiono już dużo, a z tego, co zrobiono, najważniejszem z pewnością jest to, że nie wszystkie mocarstwa, jak było do niedawna, odbywają konsultacye nad chorym człowiekiem, przyczem po dawnemu byłyby się co chwila różniły między sobą i wzajemnie sobie zazdrościły, lecz całą kuracyę zdały na Austro-Węgry i Rosyę, dbając tylko z ubocza o całość swych interesów. Ta zmiana w traktowaniu sprawy wschodniej jest bardzo ważna, bo po raz pierwszy zjawiła się na świadectwo szczerze pokojowych dążności, które też hr. Gołuchowski tak wysoko podniósł.

Dla wszystkich znękanych wewnętrznymi rozterkami i usposobionych niemi bardzo pessymistycznie, była mowa p. Gołuchowskiego ulgą i otuchą. Sprawiła też — jak z telegramów wiadomo — nadzwyczaj dobre wrażenie we wszystkich kołach politycznych. Prawdopodobnie właśnie dlatego nie podoba się ona kołom niepolitycznym, zwłaszcza owym radykalnym, rewolucyjnym, irredentystycznym, zamiłowanym w intrygach, słowem, nie podoba się ona tym wszystkim, na których hr. Gołuchowski wskazał, jako na nieprzyjaciół pokoju i szczerości w stosunkach międzynarodowych.

Układy węgiersko-chorwackie.

Piszą nam z Pesztu 17 grudnia:

(~) Poczytuje się hrabiemu Tiszy za wielką zasługę nietylko to, że dość popularne w kraju stronnictwo niezawisłości zdołał nakłonić do zaniechania obstrukcyi, ale także to, że naprawił stosunek między Węgrami a Chorwacyą. Było to rzeczywiście ważnem i trudnem zadaniem, ale osiągnięto je tak samo zboczeniem od prostej linii interesów państwowych, jak takiem zboczeniem zmniejszono natarczywość ataku kossuthowców. Posłowie chorwaccy, którzy w liczbie czterdziestu zasiadają w sejmie węgierskim, stanowią siłę, godną rządowych zabiegów, zwłaszcza teraz, gdy stronnictwo ministeryalne ustawicznie się zmniejsza. Chorwacka delegacya w sejmie zawsze się odznaczała wielkim taktem, nigdy się nie mieszała do walk, jakie między sobą staczają stronnictwa węgierskie, nigdy nie wywieszała rasowej chorągwi i każdemu rządowi szła na rękę. Tej polityce wolnej ręki zawdzięcza Chorwacya to, że jeżeli niewątpliwie starano się ją madyaryzować, to jednak nie czyniono tego tak obcesowo, jak naprzykład w Siedmiogrodzie. Ale po ostatnich zaburzeniach w Chorwacyi stanowisko jej delegacyi stało się niepospolicie trudne. Rozum polityczny nakazuje jej pozostać przy dawnej polityce, a roznamiętniony kraj żąda walki z Węgrami, i tych, którzy ją potępiają, nazywa zdrajcami ojczyzny. Aby tedy ułatwić pozycyę tej chorwackiej delegacyi musiał Tisza uchylić się od polityki liberalnego stronnictwa, która jest centralistyczna, musiał przystać na różne ustępstwa, zupełnie tak samo jak ustępstwami w dziedzinie urządzeń wojskowych nieco złagodzono ataki opozycyi węgierskiej na ugodę z r. 1867ego. Już wtedy, gdy Tisza tworzył swój gabinet, wstawił on do swego programu orzeczenie, że „stosunek do Chorwacyi pozostanie taki, jak go określa układ z r. 1868ego“, a ponieważ szło wówczas o niektóre „koncesye narodowe“, przeto znaczyło owo orzeczenie, że ile otrzymają Węgry, tyleż dadzą Chorwacyi. Miała ona zarobić na walce Węgrów z Austryą: o ile oni odsuną się od Przedlitawii, o tyleż Chorwacya odsunie się od nich. Ale to jeszcze nie wszystko. Chorwaci się skarżą, że dają za wiele na wspólne potrzeby państwa korony Św. Szczepana, a za mało im pozostaje na krajowe potrzeby. Skargi te brzmiały zawsze, ale nigdy nie starano się z węgierskiej strony choćby tylko zbadać, czy one są słuszne. Teraz konieczność zmusiła gabinet Tiszy nietylko wziąć owe skargi pod rozwagę, ale nawet uznać je za słuszne. Tak, gdzie dwóch się kłóci, trzeci zawsze bez trudu coś zarabia. Nie wiadomo jeszcze na co się Węgrom przydadzą otrzymane „koncesye“ w wojskowych szkołach i urzędach, bo nie wiadomo, czy szkoły te się zapełnią uczniami, a urzędy — urzędnikami, umiejącymi po węgiersku, a tymczasem skarb państwowy będzie miał mniej dochodów z Chorwacyi.

W regnikolarnej komisyi, która układa stosunek finansowy Chorwacyi do Węgier, spór toczy się jeszcze o jeden milion koron. Rząd węgierski ustąpił Chorwatom trzy miliony, oni jednak żądają opustu czterech milionów. Na tym punkcie spotkają się oni zapewne na środku — i to będzie czysty, niewątpliwy zysk Chorwacyi, której można tego sukcesu szczerze powinszować. Co do narodowych koncesyj na rzecz Chorwatów, to w zasadzie rzecz tak stoi, że jeżeli Węgry dobiją się madyarskiej komendy i osobnych emblematów, to Chorwaci otrzymają dla swych pułków chorwackie chorągwie i emblematy, a ponieważ już wiadomo, że wojsko będzie z władzami cywilnemi korespondowało po węgiersku i w sądach wojskowych rozprawy będą się toczyły po węgiersku, przeto to samo w Chorwacyi będzie po chorwacku. Jeżeli to wszystko będzie przeprowadzone w każdym szczególe, to nastąpi nie dualizm, ale tryalizm wojskowy. Dotychczas tedy Chorwaci są w zyskach i bardzo się cieszą z węgierskiego szowinizmu.

Odwołanie posłów z Belgradu.

Wszystkie państwa, z wyjątkiem Rosyi i Anglii, wysłały swych przedstawicieli na dwór króla Piotra Karageorgewicza. Rząd londyński odrazu dał do zrozumienia, że nie chce mieć swego przedstawiciela tam, gdzie tryumfują królobójcy, i nie nawiązał dyplomatycznych stosunków z królem Piotrem. Rosya zrobiła to nieco później, mianowicie wtedy, gdy się w gabinecie Gruicza zaznaczyły tendencye do uwolnienia się z pod politycznej kurateli, jaką chciał rozciągnąć nad Serbią p. Czarykow. Wtedy — a było to latem — udzielono mu urlopu, z którego on dotąd nie wrócił. Przedstawiciele innych państw urzędowali w Belgradzie bez przerwy, unikając jednak konaku, aby się w nim nie spotkać z królobójcami. Z początku to się udawało, bo banda, która wymordowała Obrenowiczów, nie narzucała się dyplomatom. Ilekroć jakiś poseł koniecznie musiał widzieć się z królem, zawsze przedtem usuwano z konaku członków morderczej bandy, zawsze jednak dyplomacya miała za złe Awakumowiczowi, że wysłał do Genewy po króla Piotra członków tej bandy i przez to wplątał króla do historyi owej krwawej nocy, w której zginęli Obrenowicze. Głównie z tego powodu Awakumowicz musiał ustąpić. Potem mordercy tak się rozpanoszyli, że zawładnęli nietylko wojskiem, rządem i skupszczyną, ale także konakiem. W skutek tego przedstawiciele państw obcych zaczęli porozumiewać się z rządem serbskim tylko pisemnie. Ale oto zbliża się Rok Nowy. Zgodnie z powszechnie przyjętym zwyczajem, dyplomaci będą musieli przedstawić się królowi, który w otoczeniu swych dworzan wysłucha przemowy ich dziekana i wygłosi odpowiedź. Tu już nieuniknienie nastąpiłoby zetknięcie się dyplomatów z królobójcami, co byłoby niewłaściwością z tego powodu, że posłowie są przedstawicielami monarchów. Aby tedy uniknąć tej przykrej konieczności, dwory odwołały z Belgradu swych posłów. Jest to cios dla króla Piotra i dla rządu serbskiego. Nie brak w Belgradzie starań o to, aby z konaku dobrowolnie usunęli się mordercy Obrenowiczów, trudno się jednak spodziewać, żeby takim czynem zdegradowali oni sami siebie z patryotów, za jakich uznała ich skupszczyna, na zwykłych zbójów.

Z delegacyi węgierskiej.

(Telegram Przeglądu).

Wiedeń 18 grudnia. Delegacya węgierska zebrała się wczoraj po południu na obrady. — Del. Ugron wytykał rozmaite błędy w protokole z poprzedniego posiedzenia. Po krótkiej dyskusyi formalnej protokół przyjęto. Następnie del. Ugron przedłożył wniosek, wzywający ministra wojny, aby dał wyczerpujące sprawozdanie o zapasach wojennych, środkach transportowych i żywności dla armii, aby delegaci mogli nabrać przekonania o jakości i ilości tych zapasów.

Przystąpiono do dyskusyi nad prowizoryum budżetowem, które na wniosek del. Miklosa traktowano w sposób nagły.

Del. Okolicsanyi zaprzecza rządowi wspólnemu prawa przedkładania prowizoryum budżetowego i zwalcza argument, jakoby język węgierski, wprowadzony do armii węgierskiej, naruszał w czemkolwiek jednolitość armii. Należy koniecznie wnieść ducha narodowego do armii węgierskiej. Mówca zarzuca administracyi wojskowej, iż żądania jej, wobec spokoju, panującego w Europie, są za wygórowane. Przemawia przeciw prowizoryum budżetowemu, gdyż uchwalenie jego uważa za udzielenie rządowi votum ufności. — Del. hr. Wilczek przemawia za uchwaleniem prowizoryum budżetowego, gdyż nie chce, aby stan ex lex wprowadzano także do spraw wspólnych. — Del. Hodossy przemawia w tym samym duchu.

Del. Ugron przemawia przeciw prowizoryum budżetowemu. Żali się na upośledzenie Węgrów w armii i oświadcza, iż w armii oficerowie węgierscy nie cieszą się takimi względami, jak oficerowie austryaccy. Omawiając onegdajsze *exposé* hr. Gołuchowskiego, zatrzymuje się dłużej przy ustępie, dotyczącym polityki bałkańskiej i podnosi, iż polityka Austro-Węgier nie będzie miała na Bałkanach powodzenia, gdyż nie jest dość energiczną. Zwraca uwagę na ostry ton, jakiego użył hr. Gołuchowski przy omawianiu ostatnich wypadków w Serbii. Podobne wypadki zdarzały się już także dawniej, a nigdy nie spotkały się z tak ostrym tonem z ust ministra. Historya jednakże osądzi, czy strąca się w ten sposób z tronu dobroczyńcę narodu, czy tyrana. Przeciw dążeniom Rosyi do zdobycia Albanii muszą Austro-Węgry wystąpić w sposób energiczny, inaczej bowiem wszystkie morskie aspiracye Austro-Węgier zostaną uniemożliwione. Austro-Węgry muszą się starać o swobodny rozwój narodów na Bałkanach i przez wzmocnienie ich rozwoju przyczynić się do ustalenia swego stanowiska handlowego.

Dalej omawiał Ugron sprawę *veto* na ostatniem konklawe i podnosi, iż z przemówienia hr. Gołuchowskiego nie można było dowiedzieć się czy kardynał austryacki takie *veto* założył, czy nie.

Mówca nie ma zaufania do dobrych stosunków, istniejących między Austro-Węgrami a Niemcami, ponieważ z Niemiec idzie formalna wyprawa przeciw katolikom austryackim, wyprawa, dążąca do pozyskania ich dla protestantyzmu. Kierownicy państwa niemieckiego przejęci są myślą panowania nad światem. Europa jest dla nich za ciasną; w Europie starają się najpierw duchowo, a następnie politycznie rozszerzać swe granice i szukają drogi do Adryatyku. Nie leży w interesie Anglii, aby dwa wielkie państwa kontynentalne, jak Rosya i Niemcy, stały się wyłącznymi panami na morzu. To wprawdzie daleka przyszłość, ale mimo to wszystko należy uczynić, aby dążenia te nie zdołały się urzeczywistnić. To jest także powodem dlaczego w armii węgierskiej nie może być językiem urzędowym i komendy język niemiecki, lecz powinien być język węgierski.

Szef sekcyi w ministerstwie wojny jenerał Jekelfalussy zwraca się przeciw podnoszonym na wojskowość skargom, co do których nie podano bliższych szczegółów. Mówca zaprzecza twierdzeniu, jakoby używanie języka węgierskiego w armii zostało zakazanem i prosi o przytoczenie chociaż jednego wypadku, gdzieby używanie języka węgierskiego, czy to na miejscach publicznych, czy w kasynach wojskowych zostało wzbronione. W końcu zaznacza, iż minister wojny w czasie obrad nad budżetem na rok 1904 da wszelkie wyjaśnienia na postawione mu pytania.

Po przemówieniu del. Keglevicha dyskusyę ukończono i prowizoryum budżetowe uchwalono.

Co i o czem piszą.

Warszawski świat lekarski ogromnie jest dumny z tego, że udały mu się w tym roku dwie operacye bardzo nowe, bo polegające na zaszyciu rany w sercu. Jeden z lekarzy wyjaśnia z tego powodu w *Kuryerze warszawskim* znaczenie i doniosłość tych operacyj. Pisze on:

Do niedawna jeszcze serce uważano za organ nietykalny. *Noli me tangere* (nie ruszaj mnie) — zdawało się ono mówić przez wszystkie wieki do operatorów. Twierdzono nawet, że najlżejsze dotknięcie tego organu końcem szpilki już paraliż sprowadzić może.

Łatwo docieć, co wpływało na te poglądy. Nie widziano mianowicie dawniej ran serca, któreby nie sprowadzały śmierci natychmiastowej. Takiemi były rany zadane zatrutym, choć cienkim sztyletem, rany cięte, zadane szablą, rozrębującą serce wraz z piersią na dwoje, wreszcie zadane kulą, rozrywającą organ na kawałki. Gdy zaś zdarzyła się rana lżejsza, o tej nie wiedziano, ponieważ ranny póty bez ratunku pozostawał na placu boju, póki z utraty krwi ducha nie wyzionął. Dziś wyszedł z użycia i sztylet zatruty, i szablisko Podbipięty, i kula nieopancerzona, a ranny natychmiast dostaje się do ambulansu bojowego, karetki Pogotowia, lub na stacyę Stałej pomocy. Statystyka wojen najlepiej oświetla postęp w tym kierunku. Gdy bowiem w wojnie krymskiej śmiertelność z ran zadanych w piersi dochodziła do 98%, już w wojnie 1870 r. spadła do 60 %, a w czasach jeszcze późniejszych dochodziła do 35% (wojna francusko-chińska w 1883 — 1885 r.). Postęp ratowania tak w czasie wojny, jak pokoju przekonał też, że istnieje cały szereg ran, które dotąd uważane były za ciężkie i śmiertelne, a które obecnie przy natychmiastowej i szybkiej interwencyi okazały się mniej ciężkiemi i nie zawsze śmiertelnemi. Do takich właśnie należy większość ran serca.

1)

Feljeton literacki.

Stanisław Kozłowski: „Reduta“, czteroaktowa komedya historyczna wierszem.

W tych dniach wystawiono w Warszawie 4-aktową komedyę historyczną p. Stanisława Kozłowskiego pt. „Reduta“. P. Kozłowski jako dramaturg historyczny odznaczył się już kilku utworami (np. „Albert, wójt krakowski“), w których okazał szczególną zdolność w kreśleniu tła kulturalnego czasów i umiejętność władania piękną formą poetycką.

Niedawno cieszyła się w Warszawie wielkim sukcesem inna jego komedya historyczna pt. „Dyana“, do której temat i tło wziął autor z czasów panowania króla Stanisława Augusta, opisał ówczesne zabawy dworskie na t. zw. salonach pod Blachą, ówczesny nastrój umysłów, pełen szalonej pustoty, niedbałej o nieszczęścia narodu, lub maskującej ciężki smutek i troskę. W najnowszej swej sztuce prowadzi nas p. Kozłowski z salonów pod Blachą na inne, niemniej świetne warszawskie salony, w czasy o kilkanaście lat późniejsze, w których jednak tak samo dźwięczą kielichy, szepcą westchnienia miłosne, kipi radosny gwar bujnego życia, chociaż tymczasem w dziedzinie życia politycznego i umysłowego przygotowują się wielkie wypadki i przewroty.

W „Reducie“ mistrzostwo p. Kozłowskiego w malowaniu wielkich perspektyw historycznych stoi na jeszcze wyższym szczycie, niż w poprzednich sztukach. Na pozór oddaje on tylko powierzchnię codziennego życia przeszłości, wyprowadza na scenę ludzi przeciętnych, ale w drobnych, a subtelnych rysach podkreśla wszystko, co charakteryzuje obyczaje epoki: jej nadzieje polityczne, zamiłowania literackie i artystyczne, styl w pojmowaniu miłości i uprawianiu miłostek, sposób bawienia i smucenia się, jej śmieszności i jej zalety, jej cienie i jej blaski. Autor daje nam niejako przekrój epoki w tem miejscu, w którem się schodzi najwięcej tętnic i nerwów, tej epoce właściwych.

Zadaniem p. Kozłowskiego w „Reducie“ było — jak sam opowiada — oddać duszę Warszawy z r. 1821, roku bardzo znamiennego, w którym skupiły się dwa wypadki: ostateczny zachód widma napoleońskiego, które streszczało w sobie niezniszczone i w końcu w legendę, w mrzonkę niedościgłą rozwiane nadzieje Polaków, i — wschód romantyzmu, wyrosłego naturalnie na podścielisku tem samem, które kryło w sobie poryw listopadowy.

Jak w „Dyanie“, w scenach rozgrywających się na salach pod Blachą można było odczuć echa pierwszych preludyów olbrzymiej epopei wojennej, tak w „Reducie“ w salonach księżny namiestnikowej Zajączkowej, wśród melancholijnych cieniów kończącej się przeszłości klasycznych wierszy i klasycznych czynów, różowią się już świeżym blaskiem nieznane, nowe, romantyczne świty i choć nie zrozumiane jeszcze i tłumione z pełną przesądów lękliwością przez uczone grono Przyjaciół Nauk, wdzierają się do sero czułych i wrażliwych wyobraźni z nieprzepartą, zdobywczą siłą. Pomiędzy „Dyaną“ a „Redutą“ jest cała, zaczęta i zamknięta, epoka Księstwa Warszawskiego. Urodzone wśród jednej wojny kapryśną wolą i zagadkową rachubą wszechwładnego zwycięzcy, zapadło się już po sześciu latach wśród drugiej, gdy tryumfator — żeby powtórzyć za współczesnym wierszem — „pomyślności czarą upojony, przeniósł zbrojną Europę na północne strony“, ku swojej i cudzej zgubie. Bohater „Dyany“ Józef Poniatowski męstwem i krwią okupił winy czczego życia i, jak chciał, oczyszczony stanął przed Boga progiem, aby zdać sprawę z honoru, którego stał się stróżem. Napoleon, do niedawna niezwyciężony dyktator świata, „wojownik, co się z gwiazdą szczęśliwą oswoił, siebie dumą, a innych nadziejami poił“, pędził ponure dni niewoli na odległej wyspie, trawiony bezsilną gorączką gniewu i rozpaczy. Mocarstwa Europy, złączone mistycznem Świętem Przymierzem, przywracały z trudem zachwianą równowagę w „chrześcijańskiej rodzinie narodów“, a zimna afektowana egzaltacya Jana Henryka Younga i baronowej Krüdener kładła piętno nawet na charakterze politycznych działań, na memoryałach dyplomatów i na donioślych aktach mężów stanu.

Świat goił się powoli, z ciągłym powrotem nowych krwawień, po ciężkich ranach, które mu zadał prąd przewrotów, na wzburzonej fali wznoszący przez dziwną sprzeczność ambicyę genialnej jednostki ku niebywałym, zawrotnym wyżynom. Tchnienie idei końca ośmnastego wieku, oczyszczone przez morze wylanej krwi, powracało nowym przypływem, wyzbywając się namiętności i szału, uszlachetnione bohaterstwem zwycięstw i pogromów ostatnich lat dwudziestu. Pod jego wpływem ludzkość ówczesna, podobna do przekopanej i uprawionej gleby, przyjmowała skwapliwie każdy nowy posiew i kiełkowała bujnie w atmosferze narzuconego przez nowy porządek rzeczy odpoczynku.

Jesteśmy więc w roku 1821. Kongresowe Królestwo Polskie istnieje od lat sześciu; rozwija się, skupia i organizuje, a choć terytoryalnie małe, przecież „bez ujmy dla siebie — jak mówi prof. Askenazy — wytrzymuje porównanie z owoczesnym Zachodem i pośrodku Europy ówczesnej do przedniejszego miejsca ma prawo: Carnotowi wygnanemu z ojczyzny gościnnego udziela przytułku, duchem politycznym zasługuje na pochwałę Lafayette'a, armią na podziw Wellingtona, administracyą na zazdrość Steina“. Wypadki dla Warszawy potoczyły się torem niespodziewanym. Gwiazda napoleońska, która zdawała się być jasnem słońcem, przeszła nad nią, jak niszczący meteor; gdy zgasła, został po niej tylko dym sławy. Dzień trwał dalej i zapowiadał się o wiele spokojniej, pogodniej i pewniej. Nie mogli oswoić się z nim ci wszyscy, którzy przebiegli za fatalną kometą „strefy świata, całą wskróś Europę i krwią swoją znaczyli każdą ziemi stopę“. Entuzyazm napoleoński, przechowywany przez weteranów, dumnych z blizn i krzyżów otrzymanych na polach bitwy pod Hohenlinden, Pruską Iławą, Somosierrą i Lipskiem, nie widział nic po za „małym kapralem“ i tworząc dokoła własnych wspomnień kult niemal religijny, wierzył niezachwianie w powrót bohatera ze św. Heleny i w tryumfalny ciąg dalszy przerwanej powieści.

Minęły już jednak czasy, w których Aleksander Sapieha domagał się wykluczenia poety Molskiego z grona Przyjaciół Nauk za wiersz obrażający Napoleona, a więc i majestat polskiego narodu: minęły czasy, w których zdobywca Sandomierza i obrońca Paryża, jenerał Michał Sokolnicki, do korda się porwał słysząc, jak wurmserowski niegdyś adjutant Krukowiecki podawał w wątpienie uczciwość Bonapartego zamiarów; minęły także czasy gorących publicznych polemik o granice, do których sięgać może i powinna wdzięczność i wierność dla pokonanego cesarza.

Wytwarzająca się zwolna perspektywa lat rzucała coraz częściej na postać Bonapartego cień niekorzystny, a szanowni i rozważni statyści, kierujący życiem publicznem kraju, zawsze ufni tak bardzo we własną mądrość stanu, zdawali sobie teraz coraz dokładniej sprawę z właściwej wartości świetnego samoluba, rzucającego świat pod stopy własnej jedynie pychy. Ale z serc dawnych napoleończyków i ich rodzin, z serc niewiast dumnych, że na pobojowiskach wielkiej armii kochankowie ich i bracia zyskali chwałę bohaterów, i przywykłych wieńczyć laurem ich pamięć, nic nie było zdolne wyrwać zachwytu dla cesarza Francuzów, skoro go nie wydarła nawet daremność wylanej krwi na obcej ziemi, ani żałoba po poległych dla obcej sprawy.

To też spory o Napoleona, choć już nie tak głośne i gorące, były jeszcze częste, codzienne może i nieraz pewnie tak, jak w „Reducie“, stary weteran oburzał się, gdy z ust takiej najwyższej w ówczesnej Warszawie powagi, jak Niemcewicz, słyszał o swoim Napoleonie słowa, przesycone goryczą i niechęcią. Ale Niemcewicz, siwowłosy sekretarz senatu, wzbudzał szacunek, powstrzymujący gorętsze objawy protestu; młodszych, którzy śmieli bluźnić Napoleonowi, wyzywali wiarusy na pojedynek.

Pierwsza wiadomość o niebezpiecznej chorobie Bonapartego na wyspie św. Heleny doszła do Warszawy dopiero w niespełna miesiąc po jego zgonie, t. j. w maju 1821 r., a dopiero dnia 19-go lipca rozeszła się stanowcza wiadomość, że „Napoleon po sześciotygodniowej chorobie i zupełnem zniszczeniu ciała, mając raka w żołądku, żyć przestał.“

Na wiadomość o śmierci bohatera, spory o jego osobę z nową wybuchły siłą. Rząd jenerała Zajączka uważał za właściwe przeciwdziałać sympatyom bonapartystowskim. W Schönbrunie żył dziesięcioletni chłopiec, pałający żądzą wstąpienia w ślady ojca: dopóki żyło to „orlątko“, dopóty imię Napoleona nie przestało być widmem groźnem dla europejskiego pokoju. A mężowie rady administracyjnej tak bardzo pragnęli spokoju, tak bardzo uginali się pod ciężarem wydatków wojskowych, tak bardzo trapili się pustką w skarbie, że już to samo wystarczało, aby zdwoić ich ostrożność. W Warszawie, jak wszędzie w ówczesnym świecie, nawet pewnie bardziej niż gdzieindziej, wiadomość wywarła silne wrażenie. Rozeszła się podobno po raz pierwszy na reducie letniej, urządzonej przez księżnę Zajączkową na Foksalu na rzecz ofiar powodzi. Jakiś weteran wzruszył się tem tak bardzo, że padł bez zmysłów. I to zdarzenie właśnie stało się osią, dokoła której fantazya poety usnuła treść barwnej, stylowej „Reduty“. Weteran ów nazywa się u niego Bończą i jest majorem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jeżeli tak rzecz stoi, to cóż może stać na przeszkodzie leczeniu i operowaniu ran tego rodzaju? Wszak obecnie uznano za fakt niezbity, że znakomita większość rannych w serce umiera dopiero w jakiś czas po zadaniu rany. Są to zatem ci, którzy mogliby być w ten lub inny sposób ocaleni. Jemain wykazał nawet, że z pośród 125 rannych tylko 12 zmarło natychmiast. Więc aż 113 zachowywało życie na dłuższy lub krótszy przeciąg czasu, aby chirurgowi dać jakoby możność rozwinięcia całej jego wiedzy i techniki. Interwencya tem więcej ma tu uzasadnienia, że znane są przypadki nawet samoistnego zagojenia ran serca (16% według statystyki H. Fischera).

Jaka powinna być ta interwencya, pouczają ostatecznie badania i spostrzeżenia późniejsze. Zauważono mianowicie na zwierzętach, że obnażone serce można dotykać ręką, kłuć igłą, nie naruszając jego funkcyi; że zwykle serce zranione, nawet przebite na wylot, funkcyonować nadal nie przestaje; że utrata krwi przytem, dzięki elastyczności i kurczliwości mięśni serca na razie nie bywa tak znaczna, aby stała się groźną dla życia.

Słowem, przekonano się o słuszności starej maksymy: „cor primum movens, ultimum moriens“ (serce pierwsze żyć zaczyna, a ostatnie umiera). Bo dlaczegożby tak być nie miało, skoro jest to jeden z doskonalszych i wytrzymalszych narządów w ciele ludzkiem, obdarzony własnym systemem nerwowym, posiadający mocną budowę i pracujący o sile $^1/_{28}$ konia parowego? Te wywody teoretyczne okazały się zrazu niełatwemi w zastosowaniu. Przez długi też szereg lat zadowalano się półśrodkami: puszczano krew z ręki, aby zmniejszyć ciśnienie jej w sercu, nakłuwano osierdzie, aby usunąć krew tam wylaną i hamującą czynność serca, jak to próbował robić Larrey, znakomity chirurg polowy Napoleona I itp. A gdzie chwytano się półśrodków, tam, ma się rozumieć, lekarz nie był w możności powiedzieć swemu pacyentowi nic więcej nadto, co powiedział niegdyś Ambroży Paré: *Je t'ai pansé — Dieu te guérisse.*

Bezsilność zabiegów podobnych występowała tem wyraźniej w przypadkach ciężkich, gdzie działać trzeba było szybko i stanowczo. Świadczy o tem opis śmierci księcia de Berry, któremu zadano ranę w serce sztyletem przy wyjściu z opery. Wypadek ten wprowadził w kłopot nawet takich chirurgów, jak Roux, Dubois i Dupuytren. Oto jak D. opisuje to zdarzenie: Powstało — mówi — takie zamieszanie, że lekarz, który chciał puścić krew, nie mógł natrafić na żyłę, inny znowu zaczął ssać ranę, aby z krwi osierdzie opróżnić; wreszcie zadowolono się tem, że nałożono mały powierzchowny szew na ranę skóry.

Tak sprawa stała aż do r. 1896, gdy dr. Parazzavi z Rzymu zdecydował się pierwszy zaszyć ranę serca i ocalił rannego. Był nim tragarz, którego zraniono nożem w piersi. Przywieziono go do szpitala w stanie bardzo ciężkim; utraciwszy dużo krwi, był blady, oddychał często, powierzchownie, pot zimny wystąpił mu na czoło, zjawiły się wymioty i drgawki. Zdawało się, że nic już uratować go nie mogło. Parazzavi przystąpił jednak do operacyi: przeciął w okolicy serca skórę, mięśnie i cztery żebra i dostał się do wnętrza klatki piersiowej. Tu znalazł otwór w osierdziu, skąd krew płynęła. Przekonawszy się, że rana w osierdziu była drążąca, rozszerzył ją, ręką usunął skrzepy, natrafił na ranę w sercu, szeroką na 2 ctm., z której buchała krew przy każdym skurczu. Nie zwlekając, Parazzavi zeszył ranę serca czterema szwami jedwabiu, a otwór w osierdziu sześcioma. Operacya ta trwała trzy kwadranse. Chory zniósł ją bez uśpienia. Już w godzinę potem wróciło tętno, a w 18 dni później chory był na wyleczeniu.

Od tego czasu niejeden już ranny został w ten sposób uratowany, ponieważ zeszycie rany serca nietylko okazało się możliwem, ale stało się obowiązkiem chirurga.

Na ostatnich zjazdach lekarskich, zarówno w Madrycie i Berlinie, jak w Krakowie, zajmowano się gorąco omawianą sprawą: ogłoszono nawet szereg wyleczeń tą drogą ran serca i wyjaśniono wiele szczegółów, dotyczących techniki operacyi. Operacya sama na razie nie wiele różni się od innych. A jednak ile potrzeba wprawy, aby pomimo krwotoku, zalewającego pole operacyjne, a nieraz fontanną tryskającego w oczy chirurga, nie przerywać ani na chwilę operacyi, owszem wykonać ją jak najdokładniej i jak najszybciej! ile siły woli, aby pozostawać głuchym na jęki i charczenia chorego, którego nie można chloroformować, ponieważ to mogłoby stać się groźnem dla życia! ile wreście bezbłędnej wiedzy, aby zapanować nad grozą sytuacyi, która otaczającym przejmuje lękiem i pozbawia zdolności śpieszenia z pomocą!

Rada miasta Lwowa.

Lwów, 18 grudnia.

Otwierając posiedzenie wczorajsze Rady miejskiej, polecił prezydent przed przystąpieniem do porządku dziennego odczytać pismo p. Edwarda Pietrzyckiego, byłego naczelnika miejskiej Izby obrachunkowej, w którem darowuje on miastu olbrzymi, do 12.000 sztuk dochodzący zbiór rycin, miedziorytów, stalorytów i t. p., dotyczących w przeważnej części przeszłości Lwowa i Polski. Zbiór ten znajduje się już w archiwum miejskiem i stanowić będzie prawdziwą jego ozdobę.

Rada miejska podziękowała ofiarodawcy za jego dar hucznymi oklaskami; a prezydent oświadczył zarazem, że wystosuje do p. Pietrzyckiego pisemne podziękowanie.

Z kolei zabrał głos dr. Rutowski i postawił wniosek nagły, aby odnieść się telegraficznie do polskich członków delegacyi z prośbą, by podczas rozpraw nad zmianami obrad delegacyjnych poruszyli sprawę zniesienia tak zw. rejonów fortecznych we Lwowie, oraz pewnej prochowni, która, znajdując się pośrodku miasta, mogłaby w razie jakiego wypadku narazić je na nieobliczalne szkody.

Wniosek powyższy poparł dr. Głąbiński i przypomniał przytem, że obie we wniosku dr. Rutowskiego poruszone sprawy były już raz przedmiotem obrad Koła polskiego, a następnie pertraktacyi jego z wojskowością. Otóż co do rejonów fortecznych, to wojskowość, która przedtem zbyt wygórowane stawiała pretensye, obecnie znacznie je zredukowała, tak, że z załatwieniem tej sprawy dużo już nie będzie trudności. Co zaś tyczy się prochowni, to wojskowość niema nic przeciwko temu, aby prochownię tę przenieść gdzieindziej, tylko żąda za nią od gminy odszkodowania w kwocie 60.000 koron. Być może jednak, że od żądania tego odstąpi i zgodzi się na przeniesienie prochowni w inne miejsce bez żadnego odszkodowania.

Przemawiał następnie jeszcze prezydent dr. Małachowski i oświadczył, że w sprawie przeniesienia prochowni toczą się właśnie rokowania pomiędzy gminą a wojskowością. Mianowicie gmina ofiarowuje wojskowości w zamian za grunt, na którym stoi prochownia, inny grunt, ale wojskowość żąda ponadto jeszcze 60.000 koron na zbudowanie nowej prochowni, gmina zaś nie chce się na to zgodzić.

Po tych dwóch przemówieniach wniosek nagły d-ra Rutowskiego uchwalono, poczem przystąpiono do porządku dziennego.

Jako pierwszy punkt jego miało się odbyć głosowanie w sprawie zakupna przez gminę jednego skrzydła gmachu krajowej dyrekcyi skarbu w celu zburzenia go, gdyż zasłania ono prawie zupełnie front nowozbudowanego gmachu miejskiego muzeum przemysłowego. Zanim jednak do sprawy tej przystąpiono, zabrał głos p. Riedl i postawił wniosek, aby nad sprawą zakupna owego skrzydła gmachu krajowej dyrekcyi skarbu przeprowadzono jeszcze raz szczegółową dyskusyę, a to z tego powodu, że od ostatniego posiedzenia zmieniły się warunki, na podstawie których miała być ta sprawa do skutku doprowadzona. Mianowicie gmina przegrała w trybunale administracyjnym proces z Kasą oszczędności, a poniesiona skutkiem tej przegranej strata w wysokości 340.000 kor., nie licząc procentów, wpłynie niewątpliwie na to, czy zawrzeć z krajową dyrekcyą skarbu w sprawie zakupna owego skrzydła umowę, czy też nie.

Wniosek p. Riedla wywołał bardzo ożywioną dyskusyę, ostatecznie jednak uchwalono — w myśl odmiennego wniosku d-ra Liliena — sprawę zawarcia umowy z krajową dyrekcyą skarbu odroczyć na później.

Przyszła następnie na stół sprawa podwyższenia opłat od piwa. Sprawę tę referował dr. Głąbiński i imieniem magistratu, oraz odnośnych sekcyi zaproponował ustanowienie opłaty miejskiej od piwa zarówno obcego, jak i miejscowego, we Lwowie produkowanego, w sposób następujący: Nowa opłata wynosiłaby przy piwie lwowskiem po 7 hal. od każdego hektolitra i stopnia cukromierza, jednak nie więcej, niż 70 hal., tak, że piwo cięższe niż 10-stopniowe będziesię opłacało tak samo, jak piwo 10-stopniowe. Opłata od piwa obcego wynosić ma 70 hal. od hektolitra. Skutkiem zaprowadzenia tego podwyższenia opłat miejskich od piwa zyskałaby gmina około 80.000 koron rocznego dochodu. Zarazem — w myśl wniosków referenta — należy się starać o to, by gminie wolno było nakładać dodatki gminne do całego podatku rządowego konsumcyjnego wraz z dodatkami państwowymi, a nadto należałoby także postarać się w drodze ustawy sejmowej o podwyższenie opłat konsumcyjnych miejskich w obrębie gminy miasta Lwowa do tej wysokości, w jakiej posiada je gmina miasta Krakowa.

W dyskusyi, która się na temat podwyższenia opłat od piwa wyłoniła, zabierało głos kilkunastu mówców, jedni za, drudzy przeciw wnioskom referenta. Ostatecznie jednak przeważyło zdanie, że uchwalenie proponowanych przez referenta opłat jest konieczne, wobec czego też wnioski dra Głąbińskiego przyjęto.

Z kolei uchwaliła Rada miejska ustanowić na rok przyszły 1904 opłatę za psy w wysokości 10 koron, poczem dr. Głąbiński zdawał sprawę z deputacyi wiecu miast do Wiednia, w której sam brał udział. Otóż przedewszystkiem co do wyrażonych przez deputatów lwowskich żądań o przyznanie gminie miasta Lwowa subwencyi rządowej, to zachowanie się rządu wobec tych żądań jest bardzo dziwne. Rząd mianowicie chce najwidoczniej zbyć gminę naszą czembądź, a co więcej, z pertraktacyi z nim okazało się, że chce on, aby za subwencyę uważano udzieloną w roku ubiegłym gminie miasta Lwowa ze strony rządu pożyczkę w kwocie miliona koron, oraz współudział jego w budowie kolei lwowsko-podhajeckiej. Bądź co bądź jednak sprawa subwencyi rządowej stoi tak, że można się słusznie spodziewać, iż żądania Lwowa w tej mierze zostaną przed wszystkiemi innemi uwzględnione.

Co do odszkodowania za używanie dróg w obrębie gminy jako gościńców — to odszkodowanie to uzyskać można i trzeba w tym celu wnieść do rządu osobną petycyę. Tak samo należy się spodziewać pewnych ustępstw w sprawie rejonów fortyfikacyjnych i w paru innych drobnych sprawach, przedstawionych przez deputacyę. Natomiast z góry — przynajmniej na razie — zrezygnować trzeba z otrzymania odszkodowania za poruczony zakres działania i uwolnienia przedsiębiorstw miejskich od podatku zarobkowego.

W dyskusyi nad tem sprawozdaniem omawiano w sposób bardzo ożywiony upośledzenie Lwowa przez rząd centralny — a dr. Rutowski jako powód tej nieprzychylności rządu dla Lwowa podał to, iż zaszkodziła nam w opinii sfer wiedeńskich ujemna krytyka stosunków gminnych, która się ujawniła niejednokrotnie w ostatnich czasach w łonie samej Rady miejskiej.

Zapatrywanie to dra Rutowskiego zbijali liczni mówcy, dowodząc błędności jego mniemania o szkodliwości krytyki i opozycyi.

Posiedzenie wczorajsze zamknął prezydent życzeniami „Wesołych Świąt“.

Z izby sądowej.

(Proces kiszyniowski).

Rozprawa z dnia 8 b. m. zaznaczyła się w procesie kiszyniowskim wypadkiem, który powszechną wywołał sensacyę. Wypadkiem tym była gremialna secesya obrońców, którą wywołał fakt, że trybunał odrzucił wniosek obrony, aby proces przerwano i akta jego odesłano napowrót do sędziego śledczego, a to w celu bądź wygotowania nowego aktu oskarżenia, bądź też uzupełnienia pierwotnego aktu oskarżenia w tym kierunku, że ekscedenci byli tylko powolnem narzędziem w rękach innych, intelektualnych sprawców, między innymi policyi, i że skutkiem tego pociągnąć należy tych właściwych sprawców do surowej odpowiedzialności.

Jakkolwiek jednak wniosek ten był tylko naturalnym wynikiem dotychczasowego przebiegu procesu i poparty był zeznaniami licznych świadków, trybunał go odrzucił, a w motywach swojej uchwały podał, że „ze strony decydującej wyszło postanowienie, aby wszystkie, do procesu bezpośrednio nienależące kwestye starannie usuwać i nie pozwolić wmieszać w proces osób w akcie oskarżenia niewymienionych“. Gdy trybunał uchwałę swoją ogłosił, wszyscy obrońcy, z wyjątkiem czterech, oświadczyli po krótkiej naradzie poufnej, że z powodu jawnej tendencyi trybunału do zakrycia udowodnionej winy pewnych osób ze sfer rządowych — składają swoje mandaty. Postanowienie to obrony ogłosił w imieniu reszty kolegów adwokat Szamonin. W oświadczeniu swojem powiedział on między innemi co następuje: „Jesteśmy głęboko przekonani, że na ławie oskarżonych siedzą ludzie, których za właściwych winowajców uważać nie można. Jeżeli więc zgodnie z zadaniem swojem mamy ich bronić, to niechajże będzie nam wolno wykryć to, co działo się za kulisami, wskazać tych, którzy się tymi biednymi ludźmi jako narzędziem posługiwali. Odrzucenie naszych wniosków co do powołania świadków dla obrony niezbędnych — uniemożliwia dalsze wykonywanie naszego urzędu“.

Po tem oświadczeniu obrońcy w liczbie czternastu opuścili ostentacyjnie salę rozpraw. Na ławie obrończej pozostali tylko czterej obrońcy, którzy się do secesyi nie przyłączyli. Lecz we dwa dni później i oni także poszli za przykładem swoich kolegów, tak, że od 10 bm. proces odbywa się bez współudziału obrony. W jaki zaś sposób prowadzone są obecnie rozprawy — dowodzi tego fakt, że świadków przesłuchuje teraz trybunał już nie — jak dotąd — pojedyńczo, ale sumarycznie. Odbywa się to przytem z niesłychaną wprost szybkością, o której najlepsze daje wyobrażenie okoliczność, iż w dniu 10 bm. np. przesłuchano w ciągu dwóch godzin niespełna przeszło 50 świadków, podczas zaś rozprawy w dniu następnym liczba przesłuchanych przez trybunał świadków dochodziła do dwustu.

Z przesłuchanych w ciągu dwóch dni wspomnianych świadków najcharakterystyczniejsze zeznania złożyli zwłaszcza trzej świadkowie: kupiec Lewit, żołnierz Rudanow i feldfebel Luzenko.

Pierwszy z nich podał, że gdy ekscedenci napadli na jego sklep, błagał on na klęczkach prystawa Sołowkina o pomoc, ale napróżno. Na błagania jego odparł Sołowkin z gniewem: „Idź precz, żydzie!“, a gdy świadek z płaczem zapytał go, gdzie się ma udać, otrzymał na to taką odpowiedź: „A Palestyny to nie ma!“. Wreszcie, zniecierpliwiony prośbami świadka, skinął Sołowkin na stojącego obok policyanta, a ten dobytym pałaszem ciął Lewitę w głowę, raniąc go ciężko. Gdy obecnie Lewit zawezwany został na świadka, zakazał mu Sołowkin mówić przed sądem źle o policyi, grożąc mu, że w razie przeciwnym każe go zamknąć do więzienia.

Drugi świadek, ów żołnierz Rudanow, zeznał, że w przeddzień rozruchów wydała komenda garnizonu kiszyniowskiego rozkaz, aby w oba dni Świąt Wielkanocnych pogotowie wojskowe pełnili wyłącznie żołnierze chrześcijańscy. Wynika z tego, że władze wojskowe wiedziały o tem, że rozruchy wybuchną, i zapewne obawiały się, aby służący przy wojsku żydzi nie pośpieszyli z pomocą swoim współwyznawcom.

Ostatni zaś z wymienionych świadków feldfebel Luzenko podał, że gdy stał z oddziałem żołnierzy na jednej ulicy i chciał aresztować jakiegoś ekscedenta, przystąpił do niego jakiś elegancki mężczyzna i powiedział mu: „Puść pan tego człowieka, bo aresztować go nie masz prawa“. Feldfebel mężczyznę owego aresztował, ale w policyi wypuszczono go natychmiast na wolność i nawet przeproszono go za nieprzyjemność, jakiej doznał.

* * *

Złoczów, 17 grudnia.

(Szerzenie nienawiści do narodu polskiego).

W tutejszym sądzie obwodowym rozpoczął się wczoraj przed trybunałem przysięgłych proces karny przeciw grecko-katolickiemu proboszczowi z Rykowa pod Złoczowem, X. Teofilowi Piotrowskiemu, oskarżonemu o podburzanie przeciw narodowości polskiej. Mianowicie w kazaniu wypowiedzianem 14 kwietnia b. r. przy poświęcaniu „paschy“ uderzał on ostro na miejscowych włościan polskich, których uważa za Rusinów-łacinników, że nie święcą paschy i mówią polsku. Za te zbrodnie przeklinał ich, „aby zcześli, aby ich wyrwało z korzeniem i rozniosło z wiatrem i dymem, aby skapali, jak wosk na ogniu“.

Pouczał zgromadzonych, że żadnej osoby inteligentnej, nawet xiędza przy spowiedzi, nie trzeba słuchać i jej wierzyć, jeżeli mówi po polsku. Namawiał, aby tych członków Towarzystwa Szkoły ludowej, którzy przyjeżdżają zakładać czytelnie i mówią po polsku, obili bukami; że „choćby nawet kto z cesarskiej familii przyjechał, a po polsku mówił, należy go obić drągiem i ze wsi wypędzić na pole“.

Oskarżony wypiera się winy. Gniewało go wprawdzie, gdy członkowie Towarzystwa Szkoły ludowej namawiali chłopów, aby po polsku mówili, albowiem uważa on wszystkich mieszkańców tamecznych, nawet rzymskiego obrządku, za Rusinów, ale nigdy na nich obelg nie rzucał. Tymczasem świadkowie, włościanie, którzy owego kazania słuchali, potwierdzają wszystkie inkryminowane zwroty.

Rozprawa trwa dalej.

Mały feljeton.

Myśli milionera.

W Paryżu, u Flammariona wyszła niedawno książka p. t. *L'empire des affaires* (Państwo interesów). Autorem jej jest znany milioner amerykański, Andrew Carnegie. Pisana prosto, mądrze, zwięźle i jasno, książka ta zyskała sobie w krótkim czasie ogromną poczytność i obudziła dyskusyę w prasie francuskiej. Polecono ją gorąco jak najszerszym kołom, wypowiedziano życzenie, aby młodzież wzięła do ręki to dzieło, pełne głębokich i trafnych uwag i zastanowiła się nad jego bogatą treścią. Dlaczego?

Rzecz bardzo prosta. Książka zawiera wiele cennych wskazówek i wiele szlachetnych myśli, których, niestety, w życiu współczesnem jest coraz mniej. Bo posłuchajcie tylko!

Andrew Carnegie zdobył miliony. Pieniędzmi nie pogardza i twierdzi, że nie należy niemi pogardzać nawet wówczas, kiedy się ich posiada niewiele, są one bowiem źródłem niezawisłości, narzędziem działania i postępu. Nie trzyma on jednak pieniędzy dla pieniędzy.

Gromadzić bogactwa dla nich samych wydawało mu się zawsze rzeczą pożałowania godną.

Pieniądz źle zdobyty i źle użyty jest tylko metalem surowym, niczem więcej. Człowiek bogaty powinien rozdzielać po królewsku swoją fortunę i tworzyć dokoła siebie rzeczy dobre. Taki użytek ze swoich milionów czynił zawsze i czyni dotąd p. Carnegie. Znane są jego fundacye schronisk, bibliotek, zakładów dobra ogólnego i t. d. Słowa te nie są więc w jego ustach frazesem.

Dobroczynny bogacz chwali dalej biedę, której sam zaznał w latach młodzieńczych.

Nic — mówi on — nie przygotowuje młodych ludzi lepiej do życia, jak trudne początki.

Ubóstwo jest najdoskonalszym bodźcem i najlepszą szkołą, bieda — najlepszym nowicyatem.

Zawdzięczając wszystko sobie samemu, Andrew Carnegie nie lubi tych, co przyszli na świat „do gotowego“. Majątki dziedziczne nie imponują mu. W radach, których udziela młodzieńcom, w tem, co mówi pod adresem robotników, kładzie on szczególny nacisk na zalety charakteru męskiego i wyrobienie woli, która może zaprowadzić na najwyższe szczeble powodzenia. Bądźcie ambitni — mówi on — i patrzcie wysoko, bądźcie królami w waszych marzeniach, naturalnie, bacząc, aby wasze ambicye nie przekraczały waszych sił i aby wasze marzenia nie były pragnieniem próżności, ale wypływały z poczucia wartości osobistej i z przeczucia przyszłych losów waszych. Bądźcie następnie bardzo pracowici i bardzo oszczędni, to znaczy: „gospodarujcie dobrze“.

Praca wytrwała i oszczędność są podwalinami każdej większej fortuny. Miejcie się na baczności przed trzema błędami, które są zazwyczaj przyczyną ruiny: przed zamiłowaniem w napojach, przed namiętnością do spekulacyi i do gry, tudzież przed lekkomyślnem i ślepem dawaniem waszego podpisu na wekslach. Pijak jest istotą poniżoną i niepoprawną; gracz — nawet szczęśliwy — kończy zawsze przegraną; niebaczny wystawca i żyrant pada zwykle ofiarą swej nieroztropności. Nie rozpierzchajcie się nigdy na wiele rzeczy,ześrodkowujcie uwagę na jednej i t. d.

Tych rad i wskazówek jest w książce całe mnóstwo, ale nie one stanowią jeszcze o jej wysokiej wartości. Tę ostatnią nadaje dziełu wyjątkowa pogoda, nie spotykany dziś w Europie optymizm życiowy i idalizm. Autor, który — jak sam powiada — „nigdy w życiu nie zaznał nudy, bo spływała ona z niego, jak woda z kaczki“ — całą duszą wierzy w dobro życia, w jego wartość dodatnią, w piękność wysiłków ludzkich, w szlachetność, w cnotę i w nagrodę, która spotyka każdą pracę uczciwą. Dlatego książka ta jest zdrowa i krzepiąca: pobudza ona i odnawia energię, otwiera oczy na konieczność życia czynnego, zwalcza sceptycyzm, pesymizm, lenistwo, cierpkość i niezadowolenie, tchórzostwo i apatyę, a przynosi z sobą jasny pogląd na świat, odwagę, śmiałość i przedsiębiorczość.

KRONIKA.

Lwów 18 grudnia.

JE. X. metropolita Szeptycki powrócił do Lwowa.

Prof. Rydygier odmówił przyjęcia katedry na uniwersytecie w Pradze, motywując odmowę tem, że obawia się, iż w tak krótkim czasie nie zdoła nauczyć się po czesku.

Mianowanie. Cesarz nadał radzcy legacyjnemu I klasy dr. Juliuszowi Tadeuszowi Bolesta Koziebrodzkiemu tytuł i charakter posła nadzwyczajnego i upełnomocnionego ministra.

Stypendya. P. Antoni Skrzyński, właściciel dóbr Żurawno, nadał na przedstawienie c. k. Namiestnictwa stypendya o rocznych 420 K. z fundacyi im. Adama Żebrowskiego: Włodzimierzowi Swieżawskiemu i Gustawowi Bobrownickiemu, słuchaczom I roku praw w Uniwersytecie lwowskim, tudzież Maryanowi Rzuchowskiemu, słuchaczowi III roku praw w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

Wielka wenta na dochód Towarzystwa Szkoły ludowej odbędzie się w poniedziałek i wtorek dnia 21 i 22 grudnia w lokalu księgarni Altenberga we Lwowie hotel Europejski, staraniem „Koła Pań“. Nie wątpimy, że piękny cel ściągnie do księgarni Altenberga wszystkich tych, którzy jakiekolwiek książki na gwiazdkę kupić zamierzają, tembardziej, że księgarnia przeznacza 10% z całego dochodu na rzecz Towarzystwa Szkoły ludowej.

Powszechne wykłady uniwersyteckie. W sobotę dnia 19 b. m. Insp. szkół śr. dr. L. German: „Byron i byronizm“. Długosza 6. Początek o godzinie 5. — Prof. dr. J. Siemiradzki: „Jak powstały góry“ (z demonstr.). Długosza 6. Początek o godz. $7^1/_2$.

Inżynierowie, będący członkami Towarzystwa politechnicznego, będą przyglądali się w poniedziałek o godzinie w pół do trzeciej fundamentowaniu pomnika Mickiewiczowskiego na placu Maryackim. Może w tem brać udział także publiczność, za opłatą 40 hal. na fundusz budowy kolumny.

Zmyślone doniesienia. Wobec zmyślonych doniesień niektórych pism zakomunikowano nam kopię dwóch pism następujących:

Do Świetnej ck Dyrekcyi policyi we Lwowie!

Od dni kilku krąży w mieście pogłoska o wyśledzeniu przez agenta policyjnego w zakładzie kąpielowym „Diany“ pewnej mężatki z lepszych sfer w towarzystwie młodego człowieka, a pogłoski te przybrały aż takie rozmiary, że pojawiły się na szpaltach dziennikarskich, jakoto w tygodniku miejscowym *Reformator* z dnia 12 b. m. i w numerze 285 *Nowej Reformy* krakowskiej z dnia 13 bm.

Ponieważ zakład kąpielowy „Diana“ odznacza się od pierwszej chwili swego założenia wzorowem prowadzeniem, a pogłoski powyższe wpływają ujemnie na frekwencyę uczęszczającej tamże doborowej publiczności, przeto wdrożył podpisany Zarząd kąpielowy energiczne i ścisłe dochodzenie pod względem autentyczności rozsiewanych wieści, a wynikiem tego dochodzenia była ich zupełna bezpodstawność, polegająca na rozmyślnej złośliwości i karygodnej nieuczciwości autora, zwłaszcza, iż w pomienionym Zakładzie nigdy, a tem mniej w ostatnich czasach, podobny fakt nie miał miejsca.

Zważywszy atoli, iż pogłoski te opierają się na wrzekomych dochodzeniach agenta tutejszej ck. Dyrekcyi policyi i pod tą marką urzędową wywołują naturalnie tem większą sensacyę, przeto prosi podpisany Zarząd:

Raczy Świetna c. k. Dyrekcya policyi tak w interesie zachwianej opinii Zakładu kąpielowego, jakoteż niewinnie skrzywdzonej żony i matki, do której te niesumienne pogłoski się odnoszą — wydać urzędowe poświadczenie o nieprawdziwości tych pogłosek.

Lwów, dnia 17 grudnia 1903.

Za Zarząd Zakładu kąpielowego „Diana“
Henryk Chojnacki.

C. k. Dyrekcya policyi we Lwowie.

Lwów, dnia 17 grudnia 1903.

Szanownemu Zarządowi zakładu kąpielowego „Diany“ we Lwowie!

zwraca się z potwierdzeniem, iż w podobnej — jak opisanej powyż — sprawie, która miała rzekomo mieć miejsce w łazienkach „Diany“, z żadnej strony nie odnoszono się o interwencyę do tutejszej c. k. Dyrekcyi policyi, ani też — jak stwierdzono — żaden z tutejszych organów w podobnej sprawie nie interweniował

Milski

Krajowa rada kolejowa obradowała wczoraj w gmachu sejmowym. Między innemi uchwalono czynić starania u rządu w sprawie budowy wąsko-torowej linii kolei motorowej z Wieliczki do Podgórza z połączeniem do projektowanej linii Wieliczka — Myślenice — Lubień; doradzić Wydziałowi krajowemu robienie prób z małymi motorami i ewentualne wprowadzenie takich motorów na tych liniach krajowych, które wykazały niewielki ruch towarowy, albo na których przez wprowadzenie krótkich pociągów osobowych spodziewać się można ożywienia się ruchu osobowego; czynić starania u rządu o zniżenie taryf kolejowych dla przewozu produktów krajowych, o pomnożenie wagonów osobowych, o zniżenie czynszu dzierżawnego pobieranego za restauracye kolejowe, gdyż zbyt wysoka tenuta powoduje drożyznę i złe pożywienie w wielu restauracyach.

Ze sprawozdań rachunkowych Biura kolejowego okazuje się, że od 1 stycznia do końca września b. r. dochody z kolei lokalnych były o 245.688 kor. wyższe niż w tym okresie roku zeszłego.

Odezwa. Otrzymujemy następujące pismo: Księgarnia Polska p. Połonieckiego ofiarowała wobec zwiększonego ruchu świątecznego 10% dochodu ze sprzedaży w dniach 20 w niedzielę (wyjątkowo otwarta cały dzień) i 22 bm. we wtorek na rzecz wdów i sierót pod opieką Towarzystwa św. Salomei. Przyjmując tę ofiarę z wdzięcznością, odzywamy się do Szan. Publiczności z gorącą prośbą, aby w te dnie zechciała jak najliczniej odwiedzić Księgarnię Polską, czyniąc tam zakupy książek po zwykłych cenach, a tak wiele się ich kupuje na Gwiazdkę dla dzieci i starszych — bez kosztu i trudu przyjdzie się w ten sposób z pomocą najbiedniejszym, bo osieroconym rodzinom, popierając przytem szlachetną i humanitarną myśl właściciela Księgarni Polskiej.

Jadwiga Papara
przew. Tow. św. Salomei.

Konkurs na stypendyum w kwocie 200 K. z fundacyi Franciszka Steczkowskiego z Jasła, przeznaczone dla zdolnych rzemieślników, którzyby chcieli kształcić się dalej w obranym zawodzie poza obrębem Jasła, rozpisuje Wydział krajowy we Lwowie. Podania należyć wnosić do 31 stycznia 1904 r.

P. Zofia Poray, młoda i piękna śpiewaczka, Lwowianka, której nazwisko kilkakrotnie w zagranicznych korespondencyach spotykaliśmy, zaczyna zwracać na siebie — jak donoszą dzienniki niemieckie — coraz więcej uwagę znawców i krytyków. P. Poray koncertowała wspólnie z słynnym włoskim tenorem Aleksandrem Boncim w teatrze miejskim w Preszburgu i zarówno niezwykłą swą urodą, jak i cudnie pięknym głosem swym zentuzyazmowała całą publiczność. Fachowa krytyka podnosi aksamitną miękkość jej fenomenalnie giętkiego sopranu, o przedziwnie szlachetnym, jasnym, srebrnym, a przytem pełnym dźwięku i świetnej starowłoskiej szkoły, jak również wytworne i prawdziwie artystycznie wykończone oddanie śpiewanych przez nią, a mimo swej prostoty niewielu dziś śpiewakom dostępnych utworów starowłoskich i przepowiada młodej kompatryotce naszej niezwykłą przyszłość artystyczną. Zofia Poray studyowała u słynnych nauczycieli pp. Souvestre-Paschalis w Dreźnie, a następnie u znakomitej Viardot-Garcia i Rosiny Laborde w Paryżu i tam też odniosła pierwszy świetny sukces w sali Erarda obok Pabla Sarasatego. Oddana z prawdziwem zamiłowaniem studyom muzyki włoskiej, odrzuciła czynione jej wówczas korzystne propozycye do Niemiec i Rosyi i z jedynym z dzisiejszych śpiewaków przedstawicielem starowłoskiej sztuki śpiewu A. Boncim przestudyowała ponownie główne swe partye: Lunatyczkę, Rosinę w „Cyruliku sewilskim“ i Małgorzatę w „Fauście“. Obecnie udaje się, jak się dowiadujemy, na występy sceniczne do Włoch, gdzie ją liczne propozycye powołują. Studya swe odbywała p. Poray kosztem hrabstwa Jakóbów Potockich, którzy czynem tej szlachetnej ofiarności przyczynili się do nowego rozszerzenia chwały imienia naszego w świecie.

Kurs kroju białej bielizny w Stowarzyszeniu „Pracy kobiet“ rozpocznie się dnia 15 stycznia 1904 r. Bliższych wiadomości udziela biuro Stow., Lwów, ul. Wałowa 25.

Pracownia Stowarzyszenia poszukuje panien zdolnych do haftu.

Amerykańscy zbrodniarze. Z kraju, do którego niedawno udał się p. Janusz Onyszkiewicz ze swą małżonką, zostawiwszy we Lwowie kilkadziesiąt tysięcy szalbierczych długów, nadchodzi opis całego szeregu zbrodni, dokonanych przez miejscowych rzezimieszków. Oto co piszą z Chicago:

Straszna tragedya rozegrała się w dniu 30 sierpnia b. r. w Chicago. Głównymi jej sprawcami byli ludzie młodzi, synowie — z jednym wyjątkiem — Niemców. Jeden ów wyjątek należy do narodowości szkockiej. Szczęście, że nie byli to Polacy, bo wyrazowi „foreignera“ i użyciu przezwiska „Pollacks“ nie byłoby wtedy końca. Ale oto jak się rzecz miała:

Jeszcze ciemności nocnej nie rozdarła poranna zorza dnia 30 sierpnia b. r., jak z obszernych remiz chicagoskiej kompanii tramwajów wybiegli szybko trzej rozbójnicy, unosząc ze sobą 2.500 dolarów z kasy kompanii i pozostawiając za sobą dwa trupy i dwóch rannych kulami rewolwerowemi.

Dzienniki rozniosły tegoż dnia wiadomość o strasznej zbrodni i kompania porozlepiała afisze, obiecujące po 1000 dol. nagrody za każdego mordercę. Policya wytężała swe siły, aby złapać zbrodniarzy, ale bez skutku. Upłynął wrzesień, upłynął październik i ku końcowi się miał listopad, a tu ani śladu rozbójników. Tymczasem oni nie tylko przebywali w Chicago i to w domu rodziców, ale spokojnie planowali dalsze zbrodnie w mieście.

W drugiej połowie listopada jeden z trójki rabusiów upiwszy się wygadał się jakoby wiedział cokolwiek o zbrodni w remizach. Doniesiono o tem w policyi, a ona śledziła go dniem i nocą. Fatalnym dniem dla złoczyńców był 21 listopada. Dwóch tajnych policyantów udało się do pewnej karczmy, gdzie znajdował się śledzony rabuś, aby go aresztować. Rabuś ten nazywa się Gustaw Marx. Skoro Marx zobaczył znajomego mu „tajnego“ ajenta, wyjął natychmiast rewolwer i strzelił do niego; zabił też go na miejscu. Byłby i drugiego „tajnego“ ajenta zastrzelił, gdyby nie to, że rewolwer mu się zepsuł. „Tajny“ ajent za to strzelił do Marxa, ranił go w rękę i aresztował.

Odwieziony na stacyę policyjną oskarżony o zamordowanie „tajnego“ ajenta, zaczął Marx opowiadać o wszystkich swych zbrodniach. Były one tak straszne, że policya nie chciała mu dać wiary, ale że Marx podał daty popełnionych zbrodni i nazwiska ofiar, więc uwierzono mu. Zeznał on, że wraz ze swymi wspólnikami zamordowali owych dwóch urzędników w remizach, dalej karczmarza nazwiskiem La Gross i wreszcie dwóch innych mężczyzn nazwiskiem Bauder i Johnson. Poranili przytem strzałami czterech innych ludzi. Morderstwa te i zamachy popełnili w niespełna dwóch miesiącach. Oprócz tego próbowali zatrzymać pociąg ekspresowy i zrabować kasę, lecz nie udało im się.

Wspólnicy Marxa nazywają się Harvey Van Dine, Peter Niedermeier i Emil Roeske.

Gdy Marx był uwięziony, trzej ci rabusie czytali z uwagą dzienniki, żeby się dowiedzieć, czy Marx milczy. Dowiedziawszy się, że gada, natychmiast opuścili miasto. Zatem roztelegrafowano po całym kraju opis ich fizyonomii, ubioru itp., i rozesłano fotografie. Dzienniki również podały portrety i opisy. Nazajutrz z małej wioski, oddalonej o 57 mil od Chicago, zatelefonowano do szefa chicagoskiej policyi, że widziano tam trzech podejrzanych ludzi. Szef natychmiast wysłał dziesięciu „tajnych“ ajentów, którzy przybywszy do owej wioski, dowiedzieli się od tamtejszego nauczyciela, że muszą to być poszukiwani rozbójnicy, bo fizyonomie ich były podobne do portretów w gazecie. Wskazał policyi drogę, którą się udali podejrzani jegomoście i niebawem „tajni“ ajenci natrafili w pustyniach piaskowych na pewnego rodzaju jaskinię.

Przybywszy do niej, zawołali, aby ci, którzy się w niej znajdują — wyszli. Na to wyskoczył z niej jeden łotr i bez pardonu strzelać począł do policyantów. Poznali ci ostatni, że rzeczywiście natrafili na poszukiwanych złoczyńców. Rozpoczęła się bitwa. Policyanci schronili się i strzelali do jaskini. Z jaskini odpowiadano strzałami jakby z fortecy. W tem upadł jeden z policyi, postrzelony w rękę i w twarz, potem drugi przeszyty kulą na wylot. Towarzysze ranionych przystąpili do nich, tymczasem trzej rabusie wypadli z jaskini i korzystając z zamieszania w szeregach policyi, uciekli do lasu. Kilku policyantów udało się w pogoń. Ci, którzy pozostali z ranionymi, odnieśli ich do kolei i zatelegrafowali do Chicago po pomoc. Z miasta wysłano 50 policyantów z karabinami specyalnym pociągiem.

Rozbójnicy uciekając natrafili na lokomotywę na torach kolejowych i rozkazali dozorcy, aby ich czemprędzej odwiózł z miejsca. Oparł się dozorca, więc zabito go kulą na miejscu. Wskoczyli potem na lokomotywę, a znajdujący się na niej palacz już nie stawiał oporu, lecz puścił całym pędem machinę. Tym sposobem łotrzy umknęli przed policyą. Po opuszczeniu lokomotywy udali się w pola kukurudziane, aby się schronić.

Cała okolica jednak była już zaalarmowana. Jacyś myśliwi, przechodząc przez owe pola kukurydziane, ujrzeli uciekających rabusiów i udali się w pogoń. Strzelili do nich śrutem, wskutek czego rabusie, ranieni kilkakrotnie, prosili nareszcie o pardon. Na rozkaz myśliwych rzucili pistolety i poddali się. Ale tylko dwaj — Van Dine i Niedermeier — trzeci bowiem rabuś, Roeske, umknął. Niebawem nadeszła policya i nałożyła kajdany na dwóch morderców. Roeskego przyłapano w kilka godzin później na stacyi kolejowej, gdzie ze zmęczenia zdrzemnął się.

Przywieziono śmiałych rozbójników do Chicago i uwięziono. Ranionych policyantów odwieziono do szpitala, gdzie jeden z nich skonał. Tak więc na sumieniu złoczyńców ciąży ośm morderstw, popełnionych w niespełna pięciu miesiącach. Ani jeden z łotrów nie ma więcej nad lat 22, a najmłodszym jest Roeske, liczy bowiem lat 18.

Zbrodnie te poruszyły miasto i każdy kontent jest, że karyera tak okrutnych łotrów skończyła się, bo pójdą na szubienicę.

Ameryka to kraj „dzikich uczuć“. Nie dziw więc, że znaleźli się tacy, którzy postarali się wyciągnąć korzyść z tych głośnych zbrodni. Jeden ze złoczyńców ma narzeczoną, która odwiedziła go w więzieniu i obiecała poślubić go jeszcze przed jego szubieniczną śmiercią. Matka tego złoczyńcy obiecała uczynić dla niego co tylko może, aby go wybawić od haniebnej śmierci. Otóż manażerowie chicagoskiego t. zw. „muzeum“ (podrzędny teatr rozmaitości) zaproponowali tym kobietom, aby w „muzeum“ się okazywały publiczności. One zgodziły się na to za wynagrodzeniem i ogłoszono o tem w dziennikach. Tłumy ciekawych śpieszą teraz do „muzeum“, aby oglądać kochankę i matkę mordercy. „Business“ więc idzie doskonały.

W pałacu namiestnikowskim odbyło się wczoraj o godz. $4^{1}/_{2}$ popołudniu zgromadzenie pań, zaproszonych przez hr. Andrzejową Potocką, jako protektorkę balu prasy, celem utworzenia komitetu pań dla tego balu, który — jak wiadomo — odbędzie się 10 lutego 1904 r. w salach Filharmonii. Na posiedzenie to przybyło około 50 pań. Wobec tego, że hr. Andrzejowa Potocka w ostatniej chwili musiała wyjechać, objęła przewodnictwo uproszona przez protektorkę i w jej zastępstwie hr. Mieczysławowa Pinińska. W ożywionej pogawędce wspominano świetny pod każdym względem zeszłoroczny bal prasy i wyrażano przekonanie, że tegoroczny bal tak samo się uda. Wszystkie panie rozebrały między siebie bilety, ażeby już w czasie świąt Bożego Narodzenia rozdać je pomiędzy swych znajomych.

Kapelusz z głowy! Pod tym napisem pisze ktoś w warszawskiej *Gazecie Polskiej*:

Jesteśmy niezwykle uprzejmi. Tak uprzejmych ludzi nie ma chyba na całym świecie. Bo proszę mi powiedzieć, jaką właściwie słuszną racyę ma z punktu widzenia uprzejmości obnażanie głowy w pierwszym lepszym sklepie lub sklepiku, w rozmaitych instytucyach, gdzie panuje ścisk, tłok, zamęt, w cukierniach i kawiarniach, wszędzie, gdzie oprócz nas jest jeszcze ktoś inny?

Czy to ubliży rzeźnikowi, jeżeli kupując u niego, nie zdejmiemy kapelusza? Czy to obrazi „kasyerkę“, jeżeli mając w ręku laskę i dwie lub trzy paczki, włożymy na głowę kapelusz, aby umożliwić sobie wydobycie portmonetki? Czy to będzie brakiem poszanowania miejsca urzędowego, jeżeli w ścisku takim n. p. jak na poczcie, przy wydawaniu listów i posyłek pieniężnych, podpiszemy kwit książkowy w kapeluszu? Nie — to będzie tylko prosta wygoda, to, co na całym świecie ludzie mają na względzie i wzajem u siebie szanują.

Wejdźcie do pierwszej lepszej kawiarni w którem z wielkich miast w Europie — wszyscy siedzą w kapeluszach; w sklepach także nikt nie odkrywa głowy; Anglik tylko w wyjątkowych okolicznościach rozstaje się z swoim cylindrem, a jest bardzo uprzejmy; Amerykanin to samo. My tylko jesteśmy w wiecznym kłopocie, gdzie kapelusz umieścić, jak go trzymać, bo u nas tylko obowiązuje na każdym kroku zasada — kapelusz z głowy! Zdejmujemy go też wszędzie — tam, gdzie potrzeba i tam, gdzie to jest zbyteczne, a nawet chętniej w tym ostatnim przypadku, bo to już weszło w nałóg. Niejeden na to narzeka, zżyma się, skarży, ale idzie za przykładem innych, bo nie chce stanowić wyjątku. Gdyby przynajmniej w naszych sklepach było gdzie kłaść kapelusz, gdyby przy drzwiach stał chłopiec, którýby go odbierał od wchodzących, a oddawał wychodzącym, ale gdzie tam — trzeba albo kapelusz trzymać w ręku, albo położyć go na ladzie skąd go bez ceremonii zabiera kto inny. Czy nie dość tego i czy nie czas nareszcie zerwać z zasadą: kapelusz z głowy! dla własnej wygody i bezpieczeństwa?

Kiedy kobieta jest najpiękniejsza? Na pytanie to odpowiada jeden z dzienników angielskich, że najpiękniejszą jest kobieta pomiędzy 30-tym a 40-tym rokiem życia. Tak przynajmniej uczą nas dzieje. Kobiety historyczne dochodziły w tym wieku piękności najwyższej. Kleopatra liczyła lat 30, gdy oczarowała Antoniusza. Aspazya miała lat 36, gdy Perikles uległ jej wdziękom. Annę austryacką uznano za jedną z najpiękniejszych kobiet w Europie, gdy liczyła 38-my rok życia. Panna Mars była piękna w 45-tym roku, pani Réamier w 40-tym. Westchnienia więc do młodości pań, które trzydziestkę przekroczyły, nie zawsze są uzasadnione.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano — 2. w poł. — 1. Bar. 772. Podnosi się. Pochmurno.

Z pannami niema żartów.

Panna Zofia. Niech sobie pan wyobrazi, zgubiłam raz po raz dwa parasole, nazwisko na nich było wypisane srebrnemi literami.

Pan Józef. Wielka szkoda. Trzeba postarać się o nowe.

— Parasole?

— Nie, nazwisko.

— Ach! panie, to na mnie spada tak niespodzianie! Proszę się z mamą rozmówić.

Z naszych stosunków.

— Wiesz, od trzech dni chcę się z X-em zobaczyć i nie mogę go nigdzie złapać. Czy nie masz na to sposobu?

— Owszem, zaproś go do Szkowrona, a przyjdzie z pewnością.

Widowiska i koncerty.

Teatr miejski. Dziś w piątek „Halka,“ opera Moniuszki. — W sobotę po raz pierwszy „Jan Gabryel Borkman,“ sztuka w 4 a. Ibsena. — W niedzielę popołudniu „Safanduły“; wieczorem „Aida“, opera Verdiego.

Teatr ludowy (ul. Zimorowicza 17). W sobotę popołudniu dla młodzieży „Chata za wsią“ Kraszewskiego; wieczorem „Karykatury“ Kisielewskiego (szósty występ p. Zofii Czaplińskiej). — W niedzielę popołudniu „Intryga i miłość,“ wieczorem „Jadzia wdową“ z p. Czaplińską.

Filharmonia. W sobotę wielki koncert symfoniczny orkiestry Filharmonii lwowskiej pod dyrekcyą Ludwika Czelańskiego. Program: I. 1) Noskowski: Uwertura „Step“, 2) Grieg: Peer Gynt II. Czajkowski: Symfonia patetyczna nr. 6. III. 1) Liszt: Rapsodya II; 2) Wagner: Uwertura z Tannhausera“. — W niedzielę dnia 20 bm. wielki koncert filharmoniczny ze współudziałem Jarosława Kociana, znakomitego skrzypka, oraz orkiestry lwowskiej filharmonii pod dyr. L. Czelańskiego.

Colosseum Od 16 grudnia nowy sensacyjny program: Trupa Lexton Jegelton na 6 rekach napowietrznych. The Great Joscorony, ikaryjskie igrzyska. Lee Andor Maerry. Little All-right. Jackson Bau. Malaga Crio. Ludwikowski. Anna Thomsen. Bioskop i cały fenomenalny program. W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o 4 i 8.

Literatura i sztuka.

* **Wanda Młodnicka**: „Stare baśnie“, opowiadziane na nowo dla grzecznych dzieci. Z kolorowymi obrazkami. Lwów. Księgarnia polska (B. Połonieckiego) 1904.

Jaką książeczkę dać dzieciom na gwiazdkę? oto pytanie, które zaprząta teraz rodziców, troskliwych o pokarm duchowy dla swych milusińskich. Otóż właśnie wyszła książeczka, która się wybornie na taki podarunek nadaje. Są to „Stare baśnie“ opowiedziane na nowo przez panią Młodnicką. Roztoczy się tu przed małymi czytelnikami cudny świat baśni, świat zaczarowanych królewien, strasznych smoków, które się potem zamieniają na pięknych królewiczów, państwa karzełków, gadające myszki, ptaszki, kotki i wilki, ludzie bogaci i ubodzy, wchodzący z sobą w niespodziane stosunki, święci zstępujący z nieba i interweniujący na korzyść uczciwych ludzi — ten cały świat fantastyczny, pełen innego porządku rzeczy, innej, lepszej, niż ziemska sprawiedliwości, zaludniony istotkami, które rzewne są, proste i naiwne, a wśród których to, co złe i brzydkie, nie jest złem i brzydkiem naprawdę, lecz ukrywa w sobie zazwyczaj jakiś rdzeń dodatni.

Pouczenie nie występuje jednak w tej książeczce w sposób natarczywy, na pierwszym planie bowiem jest zabawa, bajka, wydarzenia na ogół nieprawdopodobne, związane jednak między sobą odrębnym rodzajem logiki, a nawet realizmu. Podziwiać nieraz należy, jaki spryt wynalazczy objawia się często w tych starych bajkach. Pewien ojciec np. ma 4 synów, z tych jeden wyuczył się astronomii, drugi rzemiosła złodziejskiego, trzeci myśliwstwa, a czwarty krawiectwa. Wróciwszy do domu, popisują się swoją zręcznością: astronom dojziera przez teleskop jakiegoś ptaka, siedzącego na wysokiem drzewie na jajach, złodziej wykrada te jaja bez wiedzy ptaka; poczem ojciec kładzie je na czterech rogach stołu, a jedno w środku, a myśliwiec wszystkie pięć jednym strzałem przebija; w końcu krawiec zszywa jaja czerwoną nicią, ptak otrzymuje je napowrót i wylęga swoje młode całkiem zdrowe; różnią się one tylko tem od matki, że mają czerwone piórka w tem miejscu, gdzie krawiec jaja pozszywał. Jakie to wszystko nieprawdopodobne, a jednak podbija wyobraźnię; jak dowcipnym musiał być ten, który ten szczegół o czerwonych piórkach wymyślił.

Ile nieraz humoru pysznego mieści się w tych drobiazgach! Chrabąszcz porwał malutką, cudnej piękności dziewczynkę, Paluszkę, i zaniósł ją między swoich, uważając, że jest przystojną, pomimo, że wcale nie jest do chrabąszcza podobną. I byłby się może z nią ożenił, lecz zeszli się jego sąsiedzi i sąsiadki i nuże krytykować malutką.

— Jakież to marne stworzenie! ma tylko dwie nogi!

— I wcale nie ma rogów!

— Taka cienka w pasie! pfe! wygląda jak człowiek!

— Szkaradna!

I chrabąszcz, przekonany tym ogólnym chórem nagan, uwierzył w końcu, że Paluszka brzydka, zawstydził się swego gustu i wcale jej już nie chciał, mówiąc, że może sobie iść, gdzie jej się podoba — a Paluszka wypuszczona na wolność płakała, że tak jest brzydka, iż jej nawet chrabąszcze nie chcą trzymać u siebie.

Takich humorystycznych ustępów jest mnóstwo w tych bajeczkach, jest także mnóstwo rzewnych, np. w bajeczce „Dzban łez“, która jest prawdziwą perełką poetyczną. Matka płacze po śmierci swej córeczki, lecz raz w nocy na obłoczku zjawia się jej zmarłe dziecko, ma uśmiechniętą buzię i szczęśliwe oczka, tylko dzban ciężki wlecze z trudnością po ziemi. „Mamo, nie płacz za mną — mówi dziecko — Matka Boska prowadzi nas na zabawy po łąkach niebieskich, gdzie jest jasno, pięknie i wesoło. I mnie byłoby wesoło, gdyby nie ten dzban łez twoich, który muszę dźwigać. Anioł żalu je zbiera, a mnie one ciężą i nie mogę być szczęśliwą nawet wśród aniołków“. I dziecko w mgłę się rozwiało, a biedna matka patrząc za niem z wielkiem utęsknieniem, westchnęła, ale ani jednej łzy nie uroniła, aby dziecku w wiecznej szczęśliwości nie ciężyły więcej.

Pani Młodnicka opowiedziała na nowo te wszystkie bajki ze znacznym talentem narracyjnym. W dedykacyi czytamy, że poświęciła je czterem swoim wnuczętom i z tego wnioskować można, że jest to babunia w opowiadaniu bajeczek dzieciom wprawna, kochająca tę dziatwę i umiejąca się do niej zastosować. O tem też świadczy każda kartka dziełka. Opowiadanie jest płynne, podniecające wciąż ciekawość, a odznacza się pięknym językiem.

Dziełko jest illustrowane obrazkami kolorowanymi. Cena jego wynosi 3 korony.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 16 grudnia.

(Z). Wszystkim żywo jeszcze stoi w pamięci wojna, jaką w roku ubiegłym toczyły ze sobą na gruncie wiedeńskim prywatne przedsiębiorstwa elektryczne z Zakładem miejskim. Pachołcy magistraccy spędzali wówczas robotników prywatnych przedsiębiorstw, chcących zakładać kable elektryczne w ulicach, zasypywali rowy i nie pozwolili tym przedsiębiorstwom uskutecznić ani jednego nowego połączenia. Powodem tej walki było to, że nowozałożony miejski Zakład elektryczny chciał pozyskać jak najwięcej odbiorców na światło elektryczne, a prywatne zakłady, które już opanowały były teren wiedeński, psuły mu interes i narzucały się publiczności, ofiarując swoje światło taniej od miejskiego. Ostatecznie zakończono tę wojnę przez zawarcie umowy, wedle której prywatnym zakładom nie wolno dopóty przyjmować żadnych nowych zamówień, dopóki zakład miejski nie pozyska odbiorców na 6 milionów kilowatt godzin światła, a nadto ma stopniowo odstąpić zakładowi miejskiemu oświetlanie niektórych gmachów rządowych. Tymczasem w radzie miejskiej wniesiono właśnie interpelacyę, w której zarzucono, że prywatne przedsiębiorstwa nie dotrzymują zawartej umowy — wobec czego powinien magistrat znów wystąpić przeciw nim z całą surowością. Burmistrz dr. Lueger odpowiedział, że o ile zbadał rzecz dotychczas, prywatne zakłady istotnie uskuteczniły bezprawnie połączenie dwóch domów ze swemi kablami, a nadto poza plecami magistratu starały się przeszkodzić temu, by dostarczanie światła dla ministeryum spraw zagranicznych, wojny i dla wspólnego trybunału obrachunkowego powierzono miejskiemu zakładowi. Zanim magistrat zdecyduje się na jakiś krok stanowczy, wezwie jeszcze poprzednio prywatne zakłady do usprawiedliwienia się.

Produkcya cukru w monarchii mimo zniesienia premii eksportowych nie zmniejsza się w tym roku, lecz przeciwnie jest większa niż była w tym samym okresie roku ubiegłego. Z końcem listopada b. r. było np. w Austryi w ruchu 171 fabryk cukru, zaś w roku ubiegłym o tej porze pracowało jeszcze tylko 81 fabryk, gdyż inne już były zakończyły swą kampanię. Od września do końca listopada wyprodukowano w bieżącym roku w całej monarchii cukru surowego 8,672.000 centnarów metrycznych, w roku ubiegłym zaś w tym trzymiesięcznym okresie wyprodukowano tylko 7,500.000 centnarów. A więc do tej pory konwencya brukselska działa tylko ożywczo na nasz przemysł cukrowy.

Z Pragi donoszą, że akcyjna rafinerya nafty „Trzebinia“, której akcye znajdują się w całości w rękach firmy Gustawa Wagemanna, nabyła na własność rafineryę w Peczeniżynie stanowiącą dawniej własność firmy Szczepanowski i Spółki.

W austryackiem ministerstwie finansów utworzoną ma być niebawem nowa, szósta sekcya, dla spraw podatków konsumcyjnych, a kierownictwo jej obejmie dotychczasowy radzca ministeryalny, Bernacki.

Z Berlina donoszą, że reprezentanci wielkich banków berlińskich otrzymali na poniedziałek 21 b. m. zaproszenie do ministerstwa finansów na konferencyę nad projektem reformy niemieckiej ustawy giełdowej.

Z kolei. Z dniem 15 grudnia b. r. ulegnie nieznacznej zmianie rozkład jazdy pociągów osobowych na szlakach wschodnio-galicyjskich kolei lokalnych: Tarnopol-Kopyczyńce, Czortków-Zaleszczyki, Wygnanka-Skała i Teresin-Iwanie puste, położonych w obrębie c. k. Dyrekcyi kolei państwowych w Stanisławowie. Pomienione zmiany rozkładów pomieszczone są w odnośnych dodatkach do ściennych i kieszonkowych rozkładów jazdy.

§ **Z kolei.** Galicyjsko-węgierski związek kolejowy. Z dniem 1 stycznia 1904 wchodzi w życie w miejsce taryfy część II zeszyt 4 załącznik do taryfy część II.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Depesze poranne).

Paryż 18 grudnia. *Journal des débats* omawiając exposé hr. Gołuchowskiego pisze, że jest ono dowodem, z jaką starannością Austro-Węgry i Rosya postępowały przy uregulowaniu stosunków bałkańskich, gdyż uwzględniły i terytoryalny *status quo* i prawo zwierzchnicze sułtana. Równocześnie hr. Gołuchowski wystosował do Turcyi i Bułgaryi jakoteż do powstańców macedońskich poważne upomnienie. Można mieć nadzieję, że zarówno w Konstantynopolu jak w Sofii dadzą posłuch temu upomnieniu i że na wiosnę nie przyjdzie do nowego wybuchu.

Londyn 18 grudnia. *Morning Post*, omawiając *exposé*, pisze, że jest to pierwsze oświadczenie, jakie Europa otrzymała ze strony obu interweniujących mocarstw. Anglicy dalecy są od tego, aby obniżać wartość planów w celu naprawy wynikłych szkód, ale nie są pewni, czy program z Mürzsteg w razie jego przeprowadzenia pomoże Turcyi.

Berlin 18 grudnia. Dzienniki tutejsze, omawiając *exposé* hr. Gołuchowskiego, podnoszą jego tendencye pokojowe, a w szczególności ustępy, dotyczące polityki bałkańskiej i trójprzymierza.

Rzym 18 grudnia. Minister spraw zagranicznych przedłożył w parlamencie projekt ustawy, upoważniającej rząd do zawarcia prowizorycznego traktatu handlowego z Austro-Węgrami.

Wiedeń 18 grudnia. Wczoraj odbyła się wspólna konferencya ministrów przy udziale delegatów obu rządów w sprawie pertraktacyj o prowizoryczny traktat handlowy z Włochami. Delegaci wieczorem odjechali z powrotem do Rzymu celem prowadzenia dalszych rokowań.

Rzym 18 grudnia. Do *Tribuny* donoszą z Wiednia, że odjazd delegatów austro-węgierskich z Rzymu należy uważać jako wyraz ewentualnego zerwania rokowań, prowadzonych w celu zawarcia prowizorycznego traktatu handlowego. Koła oficyalne sądzą, że położenie jest trudne, jednakże nie podzielają zapatrywań pesymistycznych, spodziewają się bowiem, że przy dobrej woli uda się usunąć trudności i że istnieje wszelka nadzieja, iż po powrocie delegatów do Rzymu rokowania będą uwieńczone pomyślnym rezultatem.

Waszyngton 18 grudnia. Prezydent Roosevelt podpisał traktat wzajemności z Kubą.

Budapeszt 18 grudnia. Węgierskie Biuro korespondencyjne zaprzecza wiadomości, że biskup Strossmeyer dostał ataku apoplektycznego. Jak donoszą z Essek, było to tylko omdlenie. Stan zdrowia biskupa, który kończy obecnie 90 rok życia, jest stosunkowo całkiem dobry.

Tokio 18 grudnia. Rezultat wczorajszej konferencyi mężów stanu nie jest jeszcze znany, przypuszczają atoli, że nawet w razie nie uznania odpowiedzi rosyjskiej za zadowalającą, konferencya oświadczy się za tem, aby jeszcze raz spróbowano przyjaźnie uregulować stosunki. Położenie atoli na razie jest bardzo poważne.

Ateny 18 grudnia. Theotokis przyjął misyę utworzenia gabinetu. Dziś przedstawi królowi listę.

Budapeszt 18 grudnia. Wczoraj przywieziono tu zwłoki arcyks. Klotyldy z Alcsut. Po pokropieniu ich w poczekalni dworca kolei południowej, przewieziono trumnę do kaplicy dworskiej. Wojsko tworzyło szpaler wzdłuż całej drogi.

Paryż 18 grudnia. W pobliżu miejscowości Moissy le Sec zderzyły się wczoraj popołudniu dwa wagony tramwaju elektrycznego, przyczem 19 osób odniosło rany, z tych 7 ciężkie.

Berno szwajcarskie 18 grudnia. Prezydentem Szwajcaryi na r. 1904 wybrany Comtes, radykał, zastępcą Rucket, również radykał.

Sofia 18 grudnia. Budżet wojskowy na rok przyszły jest prawie o 3 miliony franków wyższy od poprzedniego.

(Depesze popołudniowe).

Wiedeń 18 grudnia. Komisya budżetowa delegacyi austryackiej zebrała się dziś przedpołudniem na posiedzenie. Referent Bacquehem wnosi przyjęcie 2 miesięcznego prowizoryum budżetowego.

Stransky żali się na zbyt późne zwoływanie delegacyj.

Hr. Gołuchowski wywodzi, że nie jest to jego winą, albowiem nie ma wpływu na termin wyboru członków delegacyi w parlamentach.

Kramarz oświadcza, że otrzymał polecenie wyłuszczyć imieniem stronnictwa w plenum stanowisko młodoczechów. Ubolewa, że w sprawach wojskowych panuje obecnie zupełna niejasność, i oświadcza, że będzie głosował przeciw prowizoryum budżetowemu nie tyle ze względu na rząd wspólny, jak ze względu na sytuacyę parlamentarną w Przedlitawii.

Sylwester oświadcza, że ze względu na zmianę w kierownictwie ministerstwa wojny i na to, że prowizoryum budżetowe nie zawiera podwyższenia wydatków na wojsko, a wreszcie ze względu na to, że exposé hr. Gołuchowskiego w zupełności mówcę zadowoliło, stronnictwo jego (niemiecko-ludowe) głosować będzie za prowizoryum budżetowem.

Sustersic oświadcza się przeciw, a delegaci hr. Kottulinsky, Schoenborn i Zedtwitz za prowizoryum.

Minister wojny Pitreich uznaje potrzebę wyjaśnienia wielu kwestyj wojskowych i przyrzeka dać je w chwili, gdy będzie na to więcej czasu. Spodziewa się, że uda się wyrównać przeciwieństwa.

Prowizoryum uchwalono.

Prezes Baernreither zapowiada, że jutro odbędzie się plenarne posiedzenie delegacyi, na którem wejdzie na porządek dzienny prowizoryum budżetowe jako nagły wniosek.

Następne posiedzenie komisyi budżetowej odbędzie się między 8 a 11 stycznia.

Wiedeń 18 grudnia. Cesarz udał się dziś z rana do Budapesztu na pogrzeb arcyksiężniczki Klotyldy, a wróci wieczorem. Zapowiedziany na jutro jako w dzień imienin cara obiad dworski odwołano z powodu żałoby.

Waszyngton 18 grudnia. Według oświadczenia prezydenta traktat o wzajemności handlowej między Stanami Zjednoczonymi a Kubą wchodzi w życie z dniem 27 b. m.

Wiedeń 18 grudnia. *Slavische Corr.* ogłasza następujące oświadczenie hr. Dzieduszyckiego: „O rozmowie mojej z Cesarzem podczas *cercle* delegacyjnego z nikim nie mówiłem, wszystko więc, co gazety o tem donoszą, może polegać tylko na domysłach. Szczególnie zaś podnoszę, że z ust J. Ces. Mości nie słyszałem żadnej uwagi, któraby wyrażała wątpliwość o pożyteczności odpowiedniej zmiany regulaminu.“

HOTEL GEORGE'A.

Przyjechali dnia 18 grudnia. Hr. H. Szeliski z Kozowy. Hr. K. Dzieduszycki z Martynowa. Hr. St. Grocholski z Wołynia. A. Lobkowitz i J. Mittler z Wiednia. K. Jodko z Podola. A. Kochański z Kijowa. L. Borowski z Nowosiółki. G. MacIntoch ze Stryja. Hr. A. Starzeński z Dąbrówki. J. Lauterbach z Drohobycza. J. Komorowicz z Rosyi. Z. Rosenzweig z Wieliczki. M. Goldberg z Grzymałowa B. Wykowska z Szmańkowczyk. A. Lukacs i J. Lyssy Budapesztu. W. Szczapański z Laszek. Dr. J. Szczekowski z Kijowa. M. Zieliński z Strzelisk. J. Kocian z Pragi. J. Łepkowski z Sambora.

HOTEL FRANCUSKI.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 18 grudnia. J. Krzysztofowicz z Artasowa. J. Isenberg z Krakowa. T. Lipski z Żabiego. S. Kriser z Synowódzka. O. Plahl z Trembowli. S. Papara z Stroniatyna. J. Janiszewski z Brodów. H. Klimkiewicz z Horodyszcza. W. Zerygiewicz z Horożanki. J. Arzttowa z Pomorzan. S. Bastgen ze Złoczowa. B. Wierzchleyski z Kabarowiec. K. Koleński z Rymanowa. M. hr. Rey z Przyborowa. J. Solak z Przecławia. J. Krukowie z Krakowca. A. hr. Spanocchi z Żółkwi. J. Tomiccy z Rosyi. R. Steiner z Wiednia.

HOTEL EUROPEJSKI.

Lwów — Plac Maryacki

ALBERT SZKOWRON.

Przyjechali dnia 18 grudnia. W. Krzyżanowski z Lisek. Z. Lewakowski z Drohobycza. Hr. F. Ressignieur z Niska. M. Dydyński z Raciborska. M. Maniewska z Uhrymowiec. M. Szczurowska z Królestwa Polskiego. J. Thürmann z Bełza. B. Heller z Borysławia. J. Doschot z Czortkowa. M. Krupka i E. Jokiel ze Stanisławowa. J. Walewski z Nosowa. Z. Grek z Odessy. B. Jocz z Krzywcza.

* **Pisma Zygmunta Krasińskiego,** za zezwoleniem rodziny wydał Tadeusz Pini. Wydanie krytyczne zupełne, ze słowem wstępnem prof. Kallenbacha. Tom I, 1833—1837 z portretem autora i podobiznami autografów. Lwów, Księgarnia polska, 1904.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń 18 grudnia. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kred. z obl. pr. z r. 1890	3%	292.—
„ „ „ „ z r. 1889	3%	000.00
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m. k.	4%	288.00
Uregulow. Dunaju z r. 1880 100 zł.	5%	279.—
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł.	4%	267.00
Pożyczka serbska prem. po 100 frank.	2%	92.—

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 19.15. Zakładu kred. dla handl. i przem. po 100 zł. 476.00, Clary 40 zł. m. k. 172.00, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 82.00, Losy m. Krakowa 20 zł. 83.—, Pożyczka m. Lublany 20 zł. 70.00, Ofen 40 zł. 168.00, Palfty 40 zł. m. k. 169.00. Czerwonego krzyża austryackie 10 zł. 53.50, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 26.75, Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 66.00, Salma 40.00 m. k. 232.00, Pożyczka salcburska 20 zł. 78.00 zł. Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 240.00. Tureckie obl. prem. kolej. po 400 frank. 141.25, Losy komuualne m. Wiednia z r. 1874 500.00.

Berlin 18 grudnia. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·30. Spirytus 00·00.

Paryż 18 grudnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 97·85. Mąka („Fleur de Paris“) 28·25.

Frankfurt 18 grudnia. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 217·90. Koleje państwowe 000.00 exclusive kupon. Alpiny 199·30. Disconto 000·00. Laura 000·00.

Budapeszt 18 grudnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i 50 kilogramów). Pszenica na kwiecień 7·68—7·69; pszenica na październik 7·55—7·57; żyto na kwiecień 6·54—6·55; owies na kwiecień 5·44—5·45; kukurudza na maj 5·15—5·16. Rzepak na sierpień 11·70—11·80. Oferty na pszenicę: mierne. Chęć kupna: rezerwowana. Usposobienie: spokojne. Pogoda: mgła.

Lwów 18 grudnia. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 576.— do 586.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 540·00 do 550·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 850 do 875·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 000·— do 260·—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·50 do 000.00. 4 i pół proc. los w 50 lat 101.50 do 000·00, 4 proc. los w 60 lat 98.50 do 00·00 Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 102.00 do 000·00. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 99·00 do 99.70 Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 98.90 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 99·00 do —·—, 4 proc. los w 56 lat 98·90 do 99·60.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 99.80—100.50. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 108.00 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II em.) 102.00 do 000.00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 98.90 do 99.60. Pożyczki kraj. z roku 1878 $4^{1}/_{2}$ proc, —.— do —.—. 4 proc. z 1898 r. 99·60—100.80, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 97.20 do 00.00, $4^{1}/_{2}$% po 200 koron 102.00 do 000.00.

Monety. Dukat cesarski 11.28—11.46. Napoleondor 19.00 do 19.20. Sto rubli papierowych 252.00—254.50. Sto marek 117.00 do 117.60.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go października 1903 według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***, 6.10, 8.55, 5.50, 9.50*
Z Rzeszowa: 10.25.
Z Podwołoczysk: (na dworzec główny): **2.30**, 7.55, 5.80, 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.85, 5.06, 10.02*.
Z Tarnopola: 8.30* (na dw. gł.) 8.09* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12.20.***, **1.40**, 6.20, 5.40, 9.20*.
Ze Stanisławowa: 11.15, **8.10**.
Ze Stryja: 7.45, 9.57, 1.10, 4.35, 10.40*
Z Rawy i Sokala: 6.50, 5.55.
Z Janowa: 7.40, 1.25.
Z Sambora: 7·35, 10·00*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, **8.25**, **2.50**, 4.10*, 8.85, 6.15*, 10.55*
Do Rzeszowa: 9.25.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1.50**, 6.30, 9.—*, 11.—*; z Podzamcza: **2.04**, 6.48, 9.20*, 11.24.
Do Tarnopola: 10.40 z dw. głównego, 10.57 z Podzamcza
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.40**, 6.22, 10.35, 10.48*.
Do Stanisławowa: 6.05*.
Do Stryja: 6.45, 9.05, 3.05, 6.40*, 11.05*.
Do Rawy i Sokala: 9.40, 7.05*.
Do Janowa: 9.15. 6·30*
Do Sambora: 9·25, 3·40.
Do Żółkwi: 11·11* (tylko w niedziele).

Uwaga. Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

17)

Z życia kobiety.

(Z francuskiego.)

(Ciąg dalszy).

Nie, ty jesteś dla mnie uosobieniem tych uczuć; ja nie znałem ich, zanim poznałem ciebie, nie wyobrażam ich sobie inaczej, jak w tobie. Gdy ktoś mi mówi: „Taki a taki jest szczęśliwy“, dla mnie jest to czcze brzmienie wyrazów, którego dokładnie nie mogę określić w swojej wyobraźni. Ale jeśli sobie mówię: „Ja jestem szczęśliwy“, wtedy głos jakiś tajemny szepcze w głębi mej duszy: „Simona“ i natychmiast ukochana twoja postać zjawia się przed mojemi oczyma. Bądź pewna, moje kochanie, że gdy kobieta jest tem dla mężczyzny, to choćby nawet obawiała się nie wiem czego, choćby sobie nie wiem co wyobrażała, lub nawet coś spostrzegła, nie powinna być „zazdrosną o niego. Ja wiem dobrze, moje życie, że my, mężczyźni, mamy chwile szału, którego potem wstydzimy się sami... Daję ci słowo, że nie chełpimy się z tego... Ale, Simono, jeżeli przysięgniemy szczerze, że to się już nie powtórzy, jeśli błagamy was o łaskę i przebaczenie, od którego zależy jedynie nasze szczęście tu na ziemi... wtedy wy, ukochane i uwielbiane i lepsze od nas istoty, powinnyście.. Ale przysuń uszko, ażebym mógł ci to powiedzieć po cichu... A więc... powinnyście nam — przebaczyć!

Kończąc te słowa, Mervil z kozetki, na której siedział obok, osunął się przed żoną na kolana. Głębokie i szczere wzruszenie nadawało dźwiękowi jego głosu i wyrazowi twarzy serdeczny akcent namiętnego uniesienia, tem bardziej pociągający, że objawiał się u niego rzadko, gdyż z usposobienia był on charakteru chłodnego i zamkniętego w sobie.

Simona nie pamiętała, czy dostrzegła kiedykolwiek, nawet w pierwszych chwilach po ślubie, aby duma i surowość Rogera rozpłynęła się w taki zapał tkliwości i wdzięk pokory. Co się z nią działo, gdy z poważną ciekawością, podnosząc ku sobie twarz męża, dostrzegła pod powiekami, otoczonemi siną obwódką z powodu nadmiaru pracy, wilgotne ślady łez, które Roger pomięszany starał się ukryć przed nią!

Simona zaledwie zdołała szepnąć:

— Ach! Rogerze...

Przejęta uczuciem okropnego żalu, nie mogła nawet płakać. I to na tego człowieka rozgniewała się do tego stopnia, że pogardzała nim, nienawidziła go i wyrządziła mu niczem niewynagrodzoną krzywdę, zdradzając go!... Przed nim kłamała wczoraj, kłamała dzisiaj i będzie zmuszona kłamać odtąd aż do końca, aż do ostatniego pocałunku pożegnania nad grobem! I to ona, Simona, jego Simona, uczyniła coś podobnego!

— Ach! Rogerze! — wyszeptała kilkakrotnie, a boleść taka dźwięczała w jej głosie, że mąż mniemając, że zawładnął nią tylko tryumf boskiego pobłażania, mówił:

— Moja Simono, jakżeby to można wyrządzić przykrość takiej poczciwej jak ty duszyczce? Ach! ja to rozumiem, że jestem szorstkim, złym mężem, a ty jesteś tak czuła i delikatna!... Z taką jak ty ukochaną żoneczką mąż powinien postępować bardzo wyrozumiale... A ja jestem taki niezręczny i opryskliwy! Ja się obchodzę z tobą jak ze starym towarzyszem, z którym się sprzeczam... zapominam się nieraz i przekraczam właściwe granice. Ja powinienem zawsze uwielbiać swoją śliczną madonnę, a tymczasem postępuję jak poganin.

Ona przerwała mu łagodnie:

— Nie mówmy już o tem; rozmowa w tym przedmiocie wyczerpała moje siły. Czy chcesz być do końca tak dobrym i wyrozumiałym? — pytała nieśmiałym i tkliwym zarazem ruchem ręki, gładząc czoło muzyka, który pochylony klęczał ciągle obok niej na dywanie. — Usiądź do fortepianu i zagraj mi jeszcze cośkolwiek.

— Ależ najdroższa, już jest bardzo późno. Lękam się, abym nie zbudził Paulinki, miss Mary i całego domu.

— O! będziesz grał bardzo, bardzo delikatnie. Ja się zachwycam, gdy pieśń z pod twoich palców wypływa tak cicho.

Roger był posłuszny i zaczął zcicha powtarzać temat i niektóre waryacye, jakiemi przed chwilą najbardziej zachwycała się Simona.

Słuchając go w upojeniu smutku i obawy, Simona powtarzała sobie:

— Zerwać!... tak, ja chcę zerwać... Ale jak?... On jest tak wplątany w nasze życie!... A przy nim jestem zgubiona... Nie potrafię mu się opierać... Ach! Boże, Boże! czyż ja już nie potrafię żyć bez tego człowieka?...

Mervil tymczasem, delikatniej muskając klawisze, wywoływał melodyę uroczą, jak marzenie miłości. Chwilami wzrok jego zwracał się ku żonie, przesyłając jej promienie swej duszy.

Pod magnetycznym wpływem jego wzroku twarz Simony jeszcze biedszą się stawała.

IX.

Pani Mervil nie była więcej, jak cztery razy w Meudon.

Wysiadłszy z pociągu, kierowała się zwykle w stronę lasu. Lecz gdy rzadko zdarzający się tu podróżni rozproszyli się i nie mogli zwrócić na nią uwagi, Simona przyśpieszała kroku i szła szybko przez samotne ścieżki, wśród płotów otaczających ogrody, których drzewa smutne i nagie przykre robiły wrażenie.

Simona jednak nie myślała o tem; zdaleka widziała dach pochyły, kominy z czerwonej cegły, chorągiewkę na dachu, a obok domu wysmukły wierzchołek sosny, szczegóły o których nigdy w życiu już nie zapomniała. Myśl jej zajęta była wyłącznie Janem, który oczekiwał na nią w małym ogródku, i skoro tylko usłyszał szelest jej kroków, otwierał na jej przyjęcie boczną furtkę, a radość tak szczera i głęboka malowała się w jego oczach, że Simona zapominała o świecie całym i doznawała upojenia, które jej serce upierało się uważać za miłość.

Tajemniczość spotkania z Janem i nieznana zupełnie dla Simony miejscowość dodawały powabu i uroku uczuciom młodej kobiety.

O! musiała to przyznać sama przed sobą, nawet wtedy, gdy przysięgała sobie, że nigdy już do tej willi nie powróci, że doznawała w niej radości, jaka rzadko staje się udziałem ludzi, to jest, że zdołała zaspokoić nienasycone pragnienie szczęścia, które drzemie w tajemniczej głębi każdej istoty ludzkiej, nieznanym smakiem świeżego owocu, zerwanego z drzewa wiekuistego pokuszenia. Uczucia wstrząsające jej duszą objawiały się z taką potęgą, że dopiero wtedy potrafiłaby określić różnicę, jaka zachodzi pomiędzy miłością ziemską a idealną, pomiędzy rozkoszą a tkliwością. Uczucia te są niedostępne dla większej liczby kobiet, obdarzonych właśnie najszlachetniejszemi zaletami charakteru.

Odkrycia, jakie Simona czyniła w swej duszy, potęga uczucia i zręczność udawania, o jaką nigdy nie posądzałaby samej siebie, przejmowały ją to okropnym wstydem, to znowu dziwną dumą. Kiedy rozstawała się z Janem, przejęta smutkiem pożegnania, kiedy powtarzała sobie wyrazy uwielbienia, które Jan umiał tak pięknie dobierać, zdawało jej się, że ją atmosfera namiętnego uniesienia, która zagłuszała w niej nawet poczucie winy. W takich chwilach nie żałowała niczego i niczego się nie lękała; ogarniała ją gorączkowa śmiałość, a jakiś nieprzewidziany wypadek mógł ją narazić na popełnienie największej nieostrożności. Wtedy nic dla niej nie istniało oprócz szczęścia, które tylko co minęło, a którego wspomnieniem żyła teraz w myśli. Podróż z Meudon na ulicę Ampère odbywała, sama nie wiedząc w jaki sposób, szła i mówiła jakby we śnie lunatycznym pogrążona, spoglądała przed siebie, nie widząc jednak dokładnie otaczających ją przedmiotów.

Gdy wchodziła do domu, wstrząśnienie jakieś budziło ją z odurzenia. Rajski sen zamieniał się w straszliwe, dręczące widziadło. Niewymownie przykre i bolesne uczucie powstrzymywało niemal bicie jej serca.

Zwolna, znalazłszy się pomiędzy mężem i córką, odzyskiwała równowagę. Przewrotna Simona z Meudon znikała, cofała się i rozpływała w przestrzeni, jakby jedna i ta sama istota rozdwajała się na dwie postacie. Uczciwa i spokojna Simona wchodziła wtedy w posiadanie samej siebie, a przekonanie to było tak silne, że ona sama wątpiła, aby istniało kiedykolwiek drugie jej ja. Wtedy przysięgała sobie, że nie wróci już nigdy do Meudon; nie mogła nawet wyobrazić sobie, aby ją kiedy chęć do tego mogła ogarnąć. Czar pryskał, a po nim pozostawało tylko upokorzenie i zniechęcenie, które z łatwością przemieniłoby się było w wyrzuty sumienia, gdyby Simona nie wmawiała w siebie, że służy jej prawo zemsty nad mężem.

Ale nieraz, w chwili gdy się pytała samej siebie, czy kochała jeszcze, albo czy kiedykolwiek kochała szczerze Jana d'Espayrac, poeta zjawiał się niespodzianie... O! ta obecność istoty ukochanej, której każdy wyraz, ruch każdy, a nawet spojrzenie wstrząsają do głębi każdą fibrą naszych nerwów! Ta obecność, która pod strażą obojętnych oczu staje się tak bolesną radością!... Pani Mervil doznawała tych wszystkich uczuć rozkoszy i pomięszania zarazem i wtedy budziło się w jej duszy nieprzeparte pragnienie zobaczenia się sam na sam z istotą ukochaną, pragnienie objawiające się w duszy każdego człowieka, zmuszonego odgrywać wobec ludzi komedyę obojętności. To też gdy Jan szeptał jej do ucha błagalną prośbę, Simona nie miała siły odpowiedzieć: nie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski.

Papier z fabryki Czerlańskiej.

Z drukarni E. Winiarza